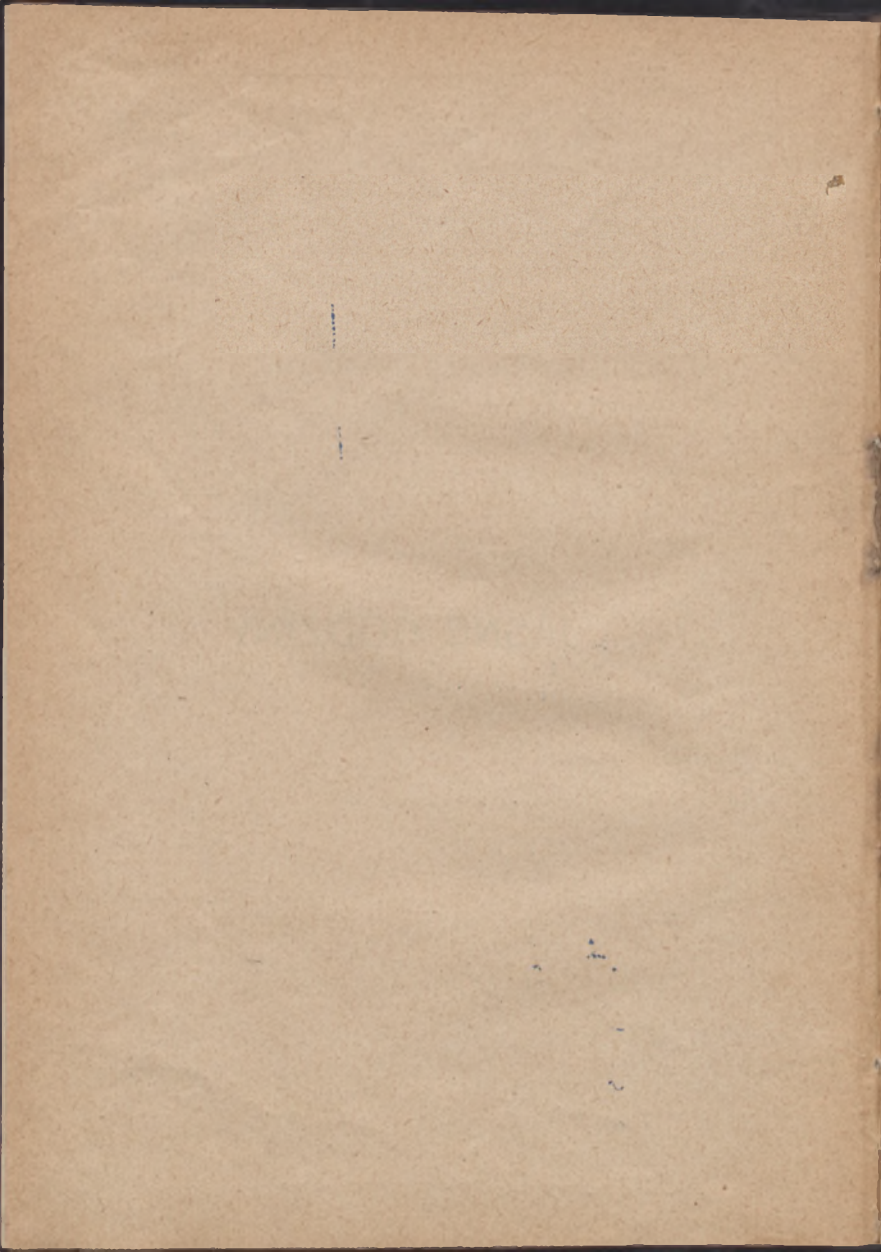


JASNE GODZINY



42

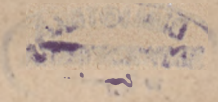
EMIL VERHAEREN

JASNE GODZINY

POŁUDNIE — ZMIERZCH — WIECZÓR

PRZEKŁAD

MARJI GROSSEK-KORYCKIEJ



POŁSKA AGENCJA WYDAWNICZA
MIECZYŚŁAWA CZERWIŃSKIEGO
WARSZAWA, CZACKIEGO 8.

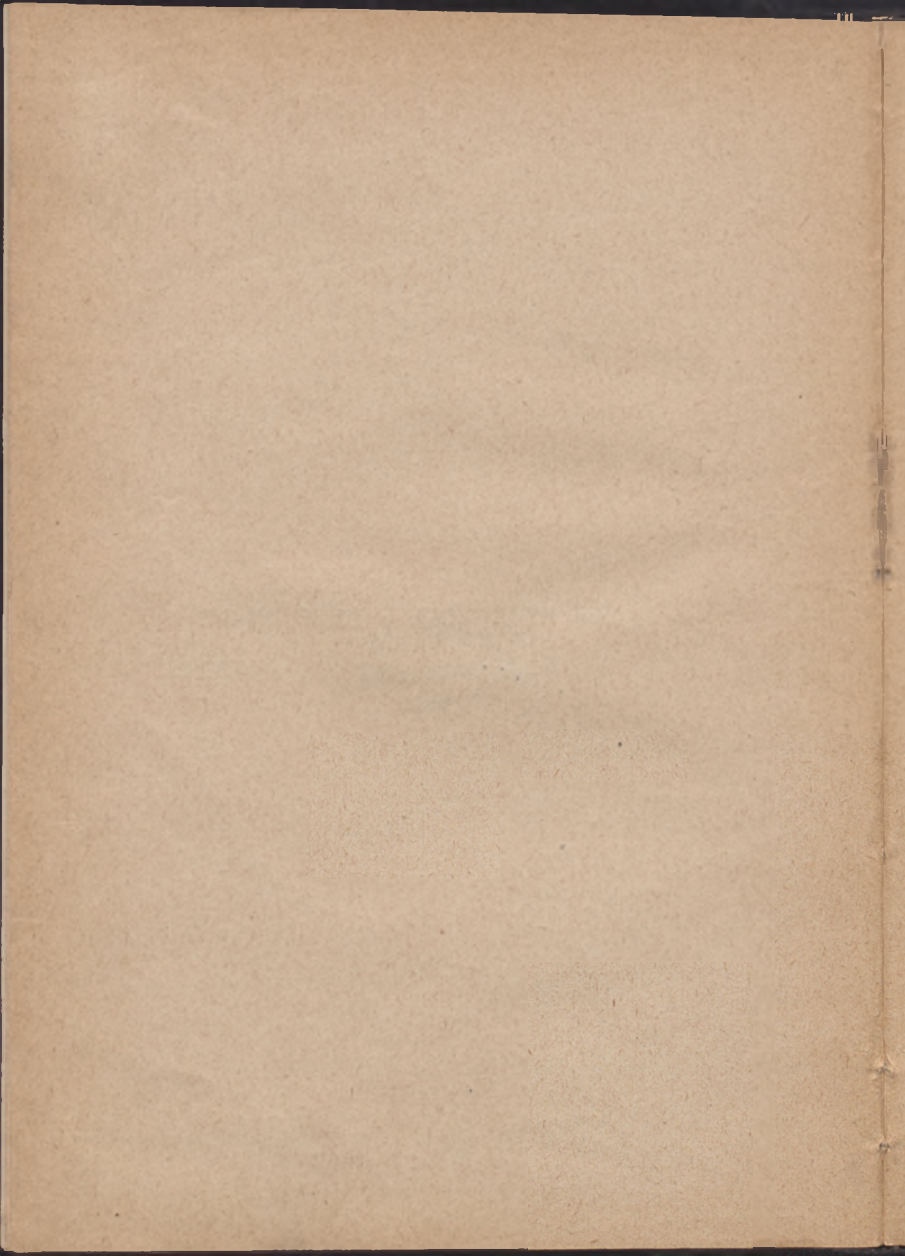


332269

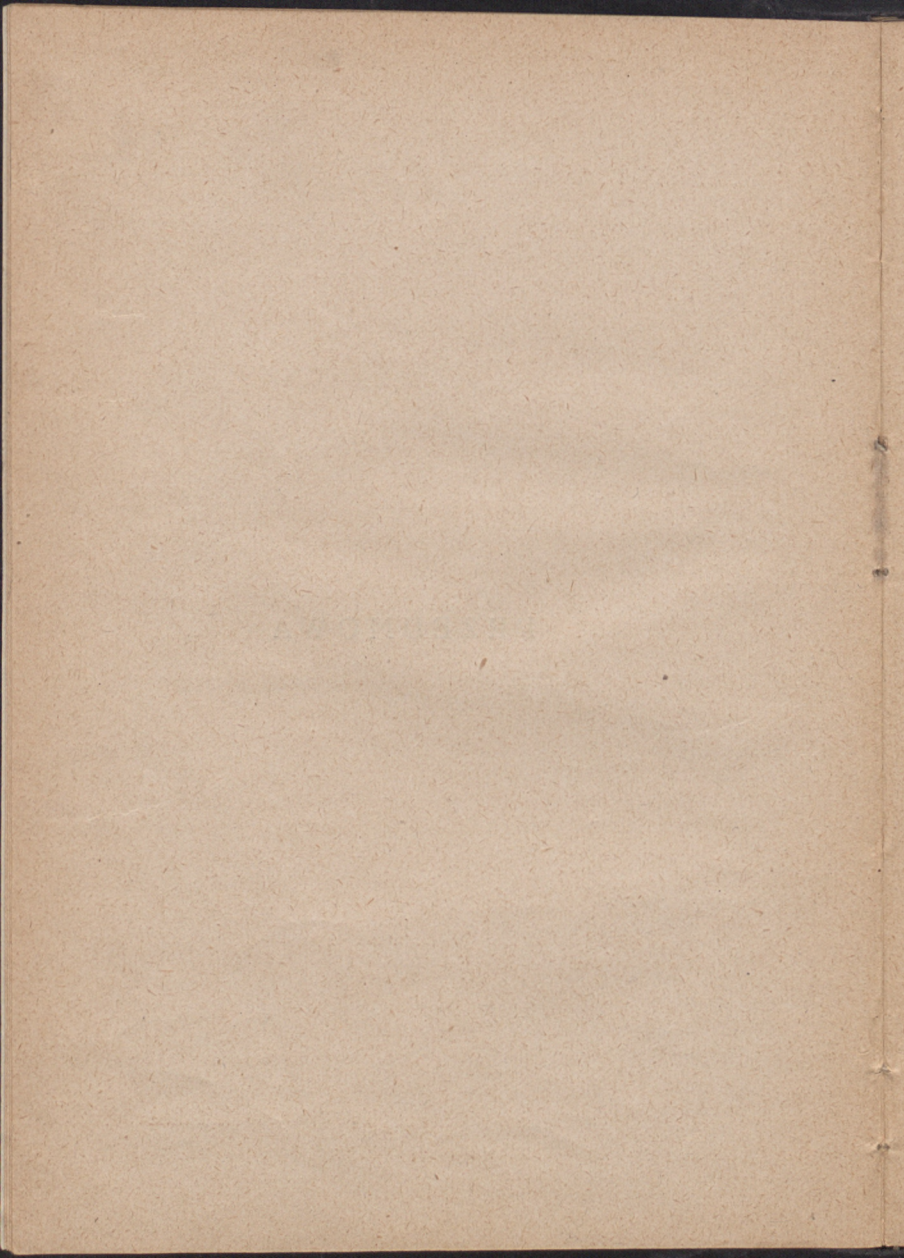
K. 1726/61

„TEJ, KTÓRA ŻYJE U MEGO BOKU”.

AUTOR.



PRZEDMOWA



BIBLIJA MIŁOŚCI

Miłość, w tej wspaniałej pełni, która ją czyni wielką miłością, jest zjawiskiem wyjątkowym! Zawistne Fata raz na miliony razy pozwala mu stać się: potrzeba ku temu rzadkiego zbiegu wielu trudnych warunków. — To zjawisko, o którym marzą, do którego miliony wyciągają ręce napróżno, jest tak rzadkiem, jak genjusz i świętość. A przecież ta „wielka miłość” jest — tak samo, jak jest genjusz i świętość.

Mało komu udało się pochwycić w sztuce właśnie tę „pełnię”, która nadaje miłości wyraz zniewalający. — Niestety! prawdopodobnie dlatego, że mało komu podarowało ją życie! Ogół wnosi do sztuki ten tylko odprysk, jaki się jemu dostał. Śpiewacy miłości grają na jednej strunie. Z gammy miłosnej każdy bierze sobie jeden ton — ultrafioletowy, lub infraczzerwony: jestto miłość seryficka lub miłość orgjacka. Wszędzie uderza brak średniego rejestru. Nie znamy codziennego, poufnego oblicza miłości. Verhaeren należy do wyjątkowych szczęśliwców. Jego „Les heures claires”, zadedykowane „Tej, która żyje u mego boku” jest to najbardziej skończona Biblia Miłości.

Otwieram Jasne Godziny. Jesteśmy wprowadzeni do Ogrodu, po którym para Oblubieńców przechadza się w milczeniu... Ani jednego dialogu!

Ogród jest dekoracją idylli — a bardziej jeszcze symbolem.

Jego drogi „zgięte łagodnie, jak szyje łabędzie”, długo ciągną się ku horyzontowi „gdzie się podnoszą i wstępują w słońce”. Dwa jego stawy są to „dwa błękitne pocałunki, spadłe na ziemię z wiotkich ust lazuru”. Powietrze składa się „z ruchliwych róż światła”... „Nowe Adamy” kochają czule naiwny ten świat pierwotnego życia, roślin i owadów, namiętnie przezeń nawzajem kochani. Życie ludzkie stało się „tą duszą słabą, która drży w każdym płomiennym bukicie” otaczającej natury. Kwiaty wybiegają naprzeciw powracających do domu, ustawiając się wzdłuż żywopłotów, do rąk się im łaszą. Na przechodzących łąką, serdeczną ziółka podnoszą źrenice załzawione, lub posyłają westchnienie wonne, które woła... Róża ponsowa, pokochawszy ich nagle, spada im na kolana... Miłość buja, szaleje i kwitnie, wraz z potopem tych róż namiętnych o sercu przebitem strzałą słoneczną. I razem ze światem kwiatów jaskrawych i „żywych kryształków” ta Miłość schodzi w żalną jesień i kroczy ku wiecznym śniegom... Jasne Godziny jestto dom szklanny, otwarty na przestrzał, gdzie w oczach naszych żyje ze sobą ta para Ob!u!ieńców. Przez ściany przezroczyście patrzymy na ich pożycie: dzień za dniem, chwila za chwilą, co daje bardzo bogaty ów „registre średni”.

„Poufne oblicze Miłości”. Verhaeren za-prosił nas na družbów i rad pochwalić się swem szczęściem, dopuszcza nas do wszystkich jego tajemnic prostych i górnych. Widzimy, jak kochankowie po schodach zmysłowości zstępują w „ogrody ciała”. Noc miłości roz-tacza się przed nami. Ale ciała odziane są w kształt kwiatu, a maistrja pisarska rzuca na całą tę scenę woal księ-życowego światła, który ją rozpyla w miraż...

Częściej jednak widzujemy kochanków, jak wstępują na górne piętra duszy i zasiadają się na szczycie, w kopule. Jest tam okno wybite wprost na Tajemnicę Niebieską, patrzącą człowiekowi oko w oko oczami gwiazd. Serce przy zetknięciu się z pierwiastkiem Boskim daje iskrę, która je zapala. Czucie Boskiego staje się wtedy objawieniem. Miłosna lira Verhaerena wydaje mistyczny jęk! zdobywa się na porywające przecucie Zaświatów, rozdzierające ich pragnienie. — Ten nie-wierzący i nie-mistyk odnajduje w sobie prawdziwy język mistyków i wierzących. Krzyk wydziera mu się z piersi:

„Odnaleźć bogów i niebo!”

Potrzeba modlitwy staje się tak gwałtowna, że kochankowie padają na kolana i modlą się nie wiedząc do kogo o! W części pierwszej Jasnych Godzin znajduje się wiele strof religijnych, tą religijnością dziwną, bezprędmotową, w której nie ma żadnego konkretnego, nic prócz czystej dynamiki uczucia religijnego. Jest to może tem bardziej wzruszające i wzniosłe. „Wszelka miłość,—woła Rostand, — prowadzi do nieba”.

Ach, bo można się pogodzić ze śmiercią, swoją — ale nie można się pogodzić ze śmiercią tych, których kochamy! Niepodobna oswoić się z beznadziejnością pożegnań wiekuistych. Miłość będzie po wszystkie czasy wielkim głosem wolać o nieśmiertelność. Pod wpływem miłości Verhaeren namiętnie szuka nieba! Nawiedzają go przecucia i nadzieje mistyczne: oto świt! razem zbudzeni kochankowie z ciemności wstępują w światło! I chwila ta przez transpozycję staje mu się symbolem i innych przebudzeń:

O powiedz, gdybyśmy tak kiedyś mieli
Wstępować razem w światłość wiekuistą?!
O powiedz, gdybyśmy tak kiedyś mieli

Z okrzykami zwycięzców, z modlitwą strzelistą,

Wolni na sobie od powłoki wszelkiej,

Bez żadnej w sobie zgorzknienia kropelki,

O powiedz, gdybyśmy, jako anieli,

Weszli tak kiedyś w miłości dzień wielki?!!

*Jak Verhaeren lęka się powiedzieć wyraźnie?!... jak unika
wrażen ścisłych?!... nieśmie się do tego przyznać — ale
przecież On się już spodziewa!!!*

*Wielka miłość zaprowadziła go do nieba! Miłość jest
oknem w duszy otwartem z natury w nad-naturę
— jest uczuciem metafizycznym, jedną z niezbadanych
tajemnic duszy.*

*Wyzwolmy się z przesądu (mówi Władimir Sołowjow)
— miłość nie służy do niczego w przyrodzonym porządku
zjawisk. Jest ogromnym ekspensem energii — na nic!
Do przekazania życia, do zachowania gatunku wystarcza
popęd — miłość jest czemś zbędnem. Kobieta ulegając
gwałtowi, tak samo zostaje matką, jak ulegając miłości.
Nie dowiedzionem jest, aby genjusz miał być koniecznie
dzieckiem szatu. Biografia zdaje się dowodzić czegoś wręcz
przeciwego — bywa on najczęściej owocem związków
oziębłych, lub zubożniałych.*

*Lecz oto w trakcie miłości, używając jej za środek,
czy za przygotowanie, dokonywa się niekiedy tajemniczy,
czysto duchowy fenomen: w ekstazie miłosnej dwa
numeny ludzkie, których nie ogarnia nasza ludzka,
zjawiskowa świadomość — dwa potężne „śpiące w nas
bogi,” z bezdennej wieczności przeszłej idące w bezdenną
wieczność przyszłą, objawiają się sobie, tak samo,
jak we śnie hipnotycznym.*

*Miłość pozwala im dotrzeć do siebie — czyni im jak-
by tę materję fizyczną subtelniejszą i przenikliwszą, most
zostaje przerzucony — dwie „wielkie samotnice”
kładą na sobie skrzydła... Co je pociąga? Wspomnienie*

prabytu na gwiazdach, który może być wspólny? — czy są połowicami jednej Androgyne, szukającami się po bezmiarach — czy mają jakieś w wieczności gigantyczne plany do spełnienia razem?!

To zbliżenie się — to porozumienie się numerów, które się niekiedy dokonywa za pośrednictwem miłości — to jest w miłości ten zagadkowy, ten niebosiężny jej czar!

Żaden poeta w żadnym utworze nie schwytał tego fenomenu tak na gorącym uczynku i nie oddał go taką genialnością prostoty i natchnienia jak Verhaeren w pieśniach ekstatycznych tomu I-go w XXI, XXIII i XXIV. — Są one jakby przyczynkami i ilustracjami do Philosophie der Mistik Du Prela.

Moje i twoje zamieszkuje wewnątrz
Jakaś potęga cudza;
Niekiedy coś czystsze, coś świętsze
I nieskończenie od nas wyższe się obudza!
Niech tylko usta dotkną wargi drogiej,
Snać przez tę iskrę, którą z siebie sączą,
Budzą się, rzekłbyś, dwa śpiące w nas bogi,
Co się kochają w nas i przez nas łączą.

* * *

Biblia Miłości — „Jasne Godziny” składa się z trzech części.
Południe — Zachód i Wieczór.

Zamyka je żalobną klamrą chwila ostatnia. Tem widzeniem naprzód, które jest smutnym przywilejem człowieka, Verhaeren staje przy swoich marach.

„Gdy już światło oczy zamkniesz mi na zawsze,
Pożegnaj mi raz jeszcze długiem uściśnieniem..”
Ten wiersz przesmutny dotąd mi dźwięczał w uszach i płakał w piersiach, aż opętana nim usiłowałam go przetłumaczyć. Ale innego był zdania mój młody przyjaciel-poe-

ta: „Wiersz jest banalny! Wszystkie paryskie piosenki ludowe sentymentalizują na temat ostatniego pocałunku w trumnie. Wszystkie śpiewają: „przyjdź, przyjdź na moją mogiłę!”

O, jeśli wielki poeta napisze to, co śpiewają wszystkie ludowe piosenki — to będzie to arcydzieło z kategorii najwyższej: to będzie arcydzieło k l a s s y c y z m u.

Są poematy, które Bóg na sercu pisze, a kiedy serce się rozplamienia, skryte pismo występuje na niem czytelnie i poeta odcyfrowywa jedyny, niepowtarzalny tekst własnego serca.

A są poematy, które przeżywa całe morze ludzkie. Które są historią wiecznie powtarzającą się miliardów! historią starą jak świat, a wiecznie nową, jak każda wiosna. Nieprzeliczone usta wymawiają ich słowa jedyną, sakramentalną, od wieków zawsze tę samą, gdziekolwiek żyje człowiek. To n a s y c e n i e d a j e i m m a t e r j a l i z a c j ę — poemat staje się widmem, które nosi się w powietrzu ziemi i śpiewa w ciche miesięczne noce.

Aż wielki poeta usłyszy to i zapisze. Od początku świata Jasne Godziny błękały się, jako mgły świetliste w atmosferze ziemi. Tak na ławce pod kwitnącą jabłonią zasadywały się w miesięczne noce — tak rozmawiały ze sobą — tak były szczęśliwe — i tak płakały — wszystkie pary szczęśliwych kochanków olbrzymiej, wiecznej ludzkości.

W tej książce nie masz nic indywidualnego, powiedzmy wręcz: uderzającego, osobliwszego... Wszystko tak, jak zawsze, jak wszędzie, jak u wszystkich... I dlatego właśnie ta książka jest tak wielką — I pomimo formy modernistycznej jest k l a s s y c z n ą.

Wyznając, że są wyższe loty natchnienia, bogatszy haft stylu — są wielkie pomysły, ta książka jest bez pomysłu. — Jest poezja inaczej opętująca wyobraźnię — są historie czarowne losów i uczuć jakichś baśniowych, serafic-

kich, czy demonicznych?!! Ale to jest takie ludzkie,
— dlatego takie wzruszające.

Poeta nic nie dodał — nic nie przemilczał i nic nie upiększył z tego, co człowiek przeżywa. Nawet goryczy zwątpienia o miłości, nawet jakiejś zdrady... nawet chwil złego humoru, nawet przytępiającego działania lat i nawyku!... W obecności naszej, jakby szukając u nas współczucia, liczy nawet swoje straty kochanka w jesiennym ogrodzie usychających wdzięków, kruszących się marmurów... (Tom II pieśń XIII „Umarłe pocałunki wiosen pogrzebanych — zostawiły ślad siny na twoim marmurze“.)

Ale różę więdnącą trzeźwionę są jeszcze łzami, w których jest coś z czułości matczynej — Listki, już mrozem zwarzone, jeszcze starają się odychać gorące usta kochanka.

To daje miarę bezmierności tego uczucia! To jest naprawdę miłość wedle Pawła Apostoła: ta, która wszystko zrozumie, wszystko przebaczy, wszystko przetrzyma, wszystko zwycięży — silniejsza, niż śmierć: miłość, która nigdy nie ginie!

Jakaś biblijna powaga, niby woń kościelnej myrry, z tych kartek się wydziela. Ach, ach, i w Beatryczy Danta i w Nocach Musseta — w Jeziorze Lamartina — w Weterze Goethego — w Szwajcarji Słowackiego — w Dziadach Mickiewicza — w erotykach Krasińskiego, czuć irrealizm tego uczucia, które szybuje za wysoko, by móc żyć codziennem życiem człowieka! — czuć, że to jest jakaś fikcja boska, w której rzeczywistość odegrała maluczką rolę pierwszego potrącenia... która trwa tak długo, jak Zesłanie Ducha Świętego, a spala się, jak piorun!

Jasne Godziny to już nie jest żadna literatura — żadna ideologia — nie ma tu nawet Czciociela potęgi (którym Verhaeren był w swych wszystkich dziełach)

Jest tylko wieczne serce ludzkie i jego wieczna prawa.

Jasne Godziny są to wieńce z róż i promieni zwite, jest to poemat szczęścia — jednak unosi się nad nim jakaś taka wielka melancholja?!...

Jest to melancholja wiecznego ludzkiego losu, w którym wszystko się kończy...

Cierpienie nie zwraca uwagi na to wieczne płyniecie, z którym i nasze zjawisko przemija — lub może czerpie z tego ulgę. Walka i wysiłek nie mają czasu o niem myśleć...

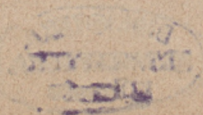
Lecz w słodkiej ciszy czarownego ustronia, które na gniazdo miłości uścieliły kwiaty i słońce — tam, gang zegaru ma w sobie coś fascynującego... W strofach Verhaerenowskich słychać wciąż wahałto... Jest to chód Czasu, którego każdy krok unosi ze sobą jedną różę z gerlandy Jasnych Godzin w otchłań rzeczy bezpowrotnych...

Niepodobna o tem nie myśleć... I to jest cierpieniem szczęśliwych. JASNE GODZINY możnaby nazwać TRAGEDJĄ SZCZĘŚCIA.

MARJA GROSSEK-KORYCKA.

POŁUDNIE





I

O, szczęście nasze w całej swej krasiel
Haft złoty po powietrza rzucany atlasie.

Oto nasz miły dom z lekką swoją wieżyczką,
Z wążką w ogród uliczką.

Pod jabłoniami ławka na trawie,
Zieleniejącej jaskrawie,

Gdy na nią z drzewa
Senliwa, muskliwa biel zwiewa.....

Oto na niebie, co od żaru blednie,
Kwiecistych gałązek ukłony,
Jak przepowiednie,
Czy antyfony.....

Oto dwa błękitne pocałunki,
Spadłe na ziemię z wiotkich ust lazuru:
Dwa nasze stawy!
Niebios wizerunki,
Z kwiateczków sznuru
Oprawy.....

O, szczęście nasze w całym swym powabie!
Haft złoty na powietrza rzucony jedwabie.....

II

W naszym ogrodzie szczęścia lato zamieszkało:
Paw złoty swoją wiechę obnosi wspaniałą—
 Płatków rubiny, perły i turkusy
 Ożywiają sen twardy zielonej murawy,
 A nasze przeczyście szklanne stawy
 Nenufarów plamą białe calusy.
W czarownych gąszczach, jak groty rusalek,
Świetlane krążki ścielą pawiment z jaspisu,
 Żywy kryształek
 Z sercem się drażni irysu.....
Złote bulki powietrza, pszczoł ognista chmara,
Drży na srebrze winogron, brzęcząc, jak gitara,
 Drży powietrze pulsujące w południ gorąco,
Rzekłbyś, że jest jedwabną materją mieniącą,
 Lub róż światła, ruchliwych, rozbujaną falą;
Nasze znajome drogi, jak gesta powolne,
 Snują daleką dałą
 Swe szlaki mozolne,
Aż po perlowe horyzontu końce,
Gdzie się unoszą i wstępują w słońce.

O najpiękniejszy to ogród na świecie,
Co się tak z naszą zespolił istotą,
Że życie nasze jest tą duszą złotą,
Która drży w każdym jego płomiennym bukicie.

III

Wyrzeźbione na jakimś barbarzyńskim fryzie
Dwa monstra z dziką furją szepiły się z sobą:
Kły i pazury w ranach, paszczę się z paszczą gryzie,
Ryk przechodzi w charczenie, wzrok w wściekłości zysie...
Takim ja byłem, zanim spotkałem się z tobą,
O ty, prawieczna i o ty, ostatnia!
Coś przyszła do mnie ze swej wieczności bezdennej
Cicha i bratnia,
Dobroć w dłoniach — i kaganiec bezsenny....

W tobie są jakieś pokrewne
Mi otchłanie?!...
I z praistnień na gwiazdach, zapewne,
To samo nawoływanie..

Myśmy musieli o tej samej porze
Kwilić w kolebce?!
I słyszeliśmy siebie — o milczącym wieczorze,
Nadsluchując w zdziwieniu: coś s z e p c e?!....

Bo z tobą wiąże mię ta sama Tajemnica,
Co prowadziła mię ścieżkami przeznaczenia
Z niebytu.....

I gdybym tylko większą miał był moc spojrzenia,
Bylbym zdawna widywał twoje lica,
Migające przez liści sklepienia,
Jak z błękitu
Towarzyszy nam twarz księżyca.

IV

Czy wiesz, o cicha ty, moja i skromna,
Jak bardzo boli rozstanie najkrótsze?!!
Gdy nieobecna oczom—jest duszy wciąż przytomna,
Jak do bezkońca wlecze się jakieś „pojutrze“?!!

Wychodzę codzień rzesze spotykać wędrowne
Z tych miejsc cudownych, gdzie ty bawisz, ukochana,
By popatrzyć z zawiścią w oczy ich czarowne
Tem, że na ciebie patrzyły jeszcze zrana!

Marzę by się ich dotknąć! bo, kto wie, w przechodzie,
Może ich twa gazowa musnęła mantyla?!...
Wsluchany w rytm ich kroku, ginący na zachodzie,
Gdzie z prastarych wieczorów noc młoda się wychyla..

V

Gdy rozmyślam nad twoją dobrocią, jak morze,
Tak głęboką w swojej prostocie !...
Na kolanach przed tobą się korzę...

Tak późno przywlokłem się był do cię!..
Wędrowałem tak długo, tak długo
Kurzawą dróg życia i szarugą
Do słodczy twojego spojrzenia,
Do rąk twych, wyciągniętych ku mnie przez oddalenia..

Miałem w sobie tyle rdzy zapiekłej,
Co wytrawiała we mnie, jak jad zaciekły,
Wszelki ślad wiary...

Byłem tak ciężki, taki strudzony,
Niedowierzaniem byłem tak stary!..
Tak osmucony, tak zniechęcony,
Błędną włączęgą na wszystkie strony!

Byłem niegodzien tego srodze,
By złote ślady stóp twych błysnęły na mej drodze...
Że jeszcze niemal we łzach, dotąd się boję...
I tak pokorny wobec szczęścia stoję!

VI

Czasem roztaczasz ten urok łaskawy,
Jaki ma ogród nasz w wiosenne rano:
Wiatr jego bryzga, jak wodą źródlaną,
Słońce wygrzewa tkliwe jego trawy,
A drogi płyną w niebieskie krawędzie,
Łagodnie zgięte, jak szyje łabędzie.

Lecz czasem we mnie budzisz dreszcz świetlany
Szybkiego wiatru, co z ziemi podrywa,
Błyskawicami rozczesuje piany
Zdębiałych jezior, którym staje grzywa...

Kiedy mnie twoje dotykają dłonie,
Myślę, że liście wieją mi po twarzy —
A gdy się liści gęstwina rozgwarzy,
Ja w tego gwaru wsłuchany harmonję,
Rozróżniam uchem te wszystkie kryształy,
Które mi piersi twoje wibrowały.

Tak dzięki tobie — przez ciebie świat cały
Wlewa się we mnie i żyje w mem łoniel

To też, gdy znowu noc ziemię zasnuje
ty się w sobie zasklepiasz przede snem,
Czy czujesz, jak tem spojrzeniem doczesnem,
Pod powiekami duszy twojej dziękuję?!...

VII

Daj spokój! — niechaj sobie w koło domu brodzi
I do drzwi puka palcami wietrznemi...
Chwila jest tak jedyna! Cóż reszta nas obchodzi,
Ta reszta z palcami jej wietrznemi?!

Niech sobie od nas idzie w dal droga
Męcząca, smutna Wesolość skoczną nogą,
Z grzechotkami w dłoni lekkomyślnej!

Niech się zaśmiewa,
Niech śmiechem się zalewa,
I z kurzem przydrożnym odwiewa,
Śmiech sztuczny, Śmiech naumyślny!

Niech się przewala — tysiącogłosa
Pod oknami fala — w przechodziel...
Chwila jest tak jedyna! — tak słoneczne niebios
I w nas samych i w naszym ogrodzie!

Wszystko nas uczy: nie czekać już niczego,
Co przychodzi, przechodzi i kona...
Od tych piosnek, co zmęczone wciąż biega,
Opuszczony na dół ramiona!

O błogosławmy, cisi, dzień, co nam jest dany,
Wobec barykad nocy i dróg na pochyłość...
Kochajmy ją nadwszystko — śpiewajmy jej hozanny,
Uwielbijmy tę w sobie naszą miłość!

VIII

Jak wiek naiwny — sercem ci w dłonie kładł —
Rozkwitły kwiat!
Co się razem otwiera przy gwiazdzistych świadkach;
Usta moje spoczęły w jego mokrych płatkach!

Kwiat ten zerwałem palcami z płomienia;
Nie mów mu nic! wyrazy — wszystkie niebezpieczne,
Dusze się rozumieją tylko przez spojrzenia...

Schyl się ku niemu — kwiat do ust ci wyzna,
Że serce moje jest takie słoneczne,
Jak ten kwiat głógul
Że jego słodczy
Nie zaprawiła obłudy trucizna,
I że się ufa miłości dziewiczej,
Jak dziecię Bogul

O, niech szczerości kryształowe dłonie
Rozłożą serca nasze jak paterę!
Jakże jest piękną spowiedź ich wzajemna,
Jedno przed drugim!... Gdy po nieboskłonie
W niebieską sferę
Wstępuje noc ciemna
Z hołdem gwiazd, lennic!

Gdy rój nieprzeliczonych djamentów,
Jak tyleż milczących źrenic,
Przepala milczenie firmamentów.

IX

Łaskawa wiosna — pierwiosnkowa,
Zasiewająca bez i róże
Rozśpiewała nam głosy, wyłocila słowa
I całych zatopiła w przeczystym lazurze.

Szczebiot liści z wiatru szelestem,
Szept róż, jak pajęczyna słaby,
Osypują się w koło dobrotliwym gestem,
Rzucając w dusze nasze złote swe sylaby.

Lecz się we wnętrzu swem zamyka,
To co najlepsze w nas, przed majem —
W słowie zbyt jest materji — serce słów unika —
Słodki, milczący poryw jest najwyższym rajem.

Widzisz te na witrażu? — ze świętych obręczą,
Jak przypadły do ziemi w nabożnej prostracji?!
Tak dusze nasze klęczą
Jedna przed drugą — w cichej, wiecznej adoracji!

O, niech szczerości kryształowe dłonie
Rozłożą serca nasze jak paterę!
Jakże jest piękną spowiedź ich wzajemna,
Jedno przed drugim!... Gdy po nieboskłonie
W niebieską sferę
Wstępuje noc ciemna
Z holdem gwiazd, lennic!

Gdy rój nieprzeliczonych djamentów,
Jak tyleż milczących źrenic,
Przepala milczenie firmamentów.

IX

Łaskawa wiosna — pierwiosnkowa,
Zasiewająca bez i róże
Rozśpiewała nam głosy, wyłocila słowa
I całych zatopila w przeczystym lazurze.

Szczebiot liści z wiatru szelestem,
Szept róż, jak pajęczyna słaby,
Osypują się w koło dobrotliwym gestem,
Rzucając w dusze nasze złote swe sylłaby.

Lecz się we wnętrzu swem zamyka,
To co najlepsze w nas, przed majem —
W słowie zbyt jest materji — serce słów unika —
Słodki, milczący poryw jest najwyższym rajem.

Widzisz te na witrażu? — ze świętych obręczą,
Jak przypadly do ziemi w nabożnej prostracji?!
Tak dusze nasze klęczą
Jedna przed drugą — w cichej, wiecznej adoracji!

X

Kwiaty w łagodnem usnęły półcieniu —
Zejdź tutaj cicho i zasiądź w milczeniu
Daj wielkiej nocy wejść w siebie do głębi! ...
Jesteśmy tak szczęśliwi — że ta, której mrozy
Ścinają żar słoneczny, w nas nic nie oziębil
My znieść możemy ciężar jej grozy ...

Tam, w górze ... kryształ nieba od gwiazd się rozjarza,
Stał się tak przezroczysty, jakby tafła wodna
Zimnych alpejskich jezior, lub szyba witraża ...
Aż widać całe niebo! ... do dna ...

.....

Tysiące ócz olbrzymiej Tajemnicy
Dokola Ciebie ...

Tysiące praw straszliwej
Milczelnicy

Dokola ciebie

Napięło społem

Srebrzyste cięciwy,

By wziąć na cel twą duszę pod twem bladym czołem,
A ty nie lękasz się — o proste serce?!! ...

Ty wierzyłeś ... że wszystkie te źrenice,
Niewidzialnego — opiekuńcze dłonie,
Wyciągają ku tej iskierce,
Którą miłość zażęgła w twym łonie:
Miłości twojej Wielkie Sojusznice!

O złóż więc dłonie — i uczcij w pokorze
Ten Sobór przezczystych Mocy,
Unoszący się, jak dziwne zorze,
Po horyzoncie północy!

XI

O, jak ona łatwo się zachwyca:
Z tą ognistą ekstazą źrenica!
Ona w życiu tak pełna rezygnacji ...

Tego wieczora jakieś jedno słowo,
Jedno spojrzenie raptem ją uniosło
W regiony radosnej egzaltacji,
Gdzie jest służebną razem i królową, —
Korną za siebie — a za nas wyniosłą.

Padaliśmy na kolana oboje,
By czerpeć szczęście, co nam z serc się lało,
Tak pielgrzym pada na klęczki przed skalą,
Skąd na pustyni trysnęły mu zdroje...

Uniesienie miłosne ugaszało zwołna
W spleceniu ramion naszych zemdłonym...
A myśmy wsluchiwali się z bijącym łonem
W wymowę milczeń!... której mowa dać nie zdolna..

XII

W latach, kiedy cierpiałem tak srodze,
Gdy każdy dzień znęcał się nademną,
Błysnęłaś mi — jak na śnieżnej drodze
Światelko w oknie dalekiem... w noc ciemną!

Dłonie twoje, miłosiernie ciepłe,
Wzięły w siebie serca mego ptasze,
Obumarłe, od zimnych dotknięć skrzepłe...

Potem przyszło zaufanie nasze,
Bezobludna
Przyjaźń — i serdeczność!
I godzina harmonją dusz cudną:
Oświadczenie — i śluby na wieczność!

I kwiat miłości — olbrzymi, a prosty —
Buchnął, jak płomień, z żądy podścieliska,
Co wciąż na nowo, wciąż z serca wytryska,
By kwiat ten pędzić w coraz wyższe wzrosty:
Hyperbolicznem!!!

Szczęście?!! ja dzisiaj tonę w róż powodzi,
I wszystkie drogi te melancholiczne,
Po których myśl teraz chodzi,
Zalane są przez słońca potoki wulkanicznem!!!

Przecież zawracam często ku wspomnieniu:
Ścigam skrzypiących stóp po śniegu echo,
I to światelko z okna, w nocnym cieniu,
Które pierwszą było mi pociechą.

XIII

Ciekawość z pytań zwykłych arsenałem:
Kim są? — dlaczego? — z jakiego powodu? —
Nie będzie deptać naszego ogrodu,
Znałem cię pierwiej, niżli cię poznałem!

I słodko mi jest poddać się tej próbie,
Że kocham duszą nic wiedzieć nie mocną;
Jaka przyczyna była w naszym ślubie,
Czemu mnie głos twój jak z przepaści woła,
Czemu mnie wzrok twój przykuwa tak mocno?...
Nie wiem — i wiedzieć nic nie pragnę, zgoła!

Niech się nie tyka tego rozum szkolny:
To niedostępna zmysłom tajemnica;
To słodki poryw serca mimowolny;
Żar, co się ciągle sam sobą podsyca;
To pył, co mają na skrzydłach motyle;
To nadziei niebiańskich w chmurach perystyle!...

O żyjmy szczęściem! — nic nas nie obchodzi,
Tłum zawsze miłość z miłością rozwdzi,
Wszelkiej wielkości życzący rozbicia,
Niech sobie mówi „za piękne dla życia“!

XIV

Marzenie moje zbliża cię do tych królowych,
Które po schodach zstępują powoli,
W ornamentach i kwiatach legendowych,
W balladowej aureoli.

Imiona też dla ciebie znajduję w balladzie,
Które czar jakiś nieśmiertelny nieszczą,
Których jedwabne sylaby szeleszczą
Po strof i wierszów wzniesionej estradzie
Dla słów baletu, ku rymów paradzie.

Ale niech raz jedyny na ciebie popatrzę,
Zaraz się całkiem do tej gry zniechęcę,
Tak nie nadajesz się do póź w teatrze --

Spojrzę się tylko na te dziecka ręce,
Tak na kolanach złożone spokojnie...
Na czoło czyste, otwarte dostojnie,
Na którym prawdy jaśnieją niezłomne,
I na te piersi, któremi porusza
To serce twoje proste, a ogromne...

O, jak to wszystko, co się na coś zmusza,
Czczą jest igraszką, szkieł czeskich ozdobą,
Jakimż to niczem w zestawieniu z tobą,
Z twojem spojrzeniem i twoją modlitwą!...

XV

Łzom i uśmiechom twym ofiarowuję
Myśli moje najbardziej żarliwe —
Te, co przemilczam i te, co nazywam,
I te, które się klębią, jak mgły w bezdni, siwe...
I niewymowne są, gdyż bezforemne
I mnie tajemne...

Łzom i uśmiechom twym ofiarowuję
Wszystkie uśmiechy i lzy duszy mojej...
Te, które mówię — i te, które skrywam,
Których chce serce, i których się boi;
Dusza się moja oddaje duszy twojej!

Patrz, jak od perel świtu pobiełały trawy...
Jak mroków ześlizgują się porwane pęta
I odpływają smętnie, jak fluszcza wyklęta...
A szept swój uciszają przejaśnione stawy...
Patrz, jak się oczy kwiatów otwierają z nocy,
I złoty las wyzwala z ciemnych sił przemocyl...

O, powiedz!... gdybyśmy tak kiedyś mieli
Wstępować razem w światłość wiekiustą?!...
O, powiedz!... gdybyśmy tak kiedyś mieli
Z okrzykami zwycięzców, z modlitwą strzelistą,
Wolni na sobie od powłoki wszelkiej...
Bez żadnej w sobie zgorzknienia kropelki...
O, powiedz! gdybyśmy, jako anieli,
Weszli tak razem kiedyś w miłości dzień wielki?!!

XVI

Duszę mą w twoich zanurzam źrenicach,
By ją oczyścić z wiecznego jej szalu —
W tych słodkich, w tych świętych dwóch krynicach,
Moc jej powraca i przezroczy kryształ!

Ol stać się bractwem
Wzajemnych oczyszczeń...
Jak złote w jednej absydzie witraże
Poto ku sobie wiecznie klonią twarze,
By barw i błyszczeń
Mieniać się bogactwem!

Tak często ustaję w mojej drodze,
Tak często na sobie się zawodzę...
Serce me umie dochodzić swych życzeń,
Jak ptak się tłucze o pręt nieobliczeń...
Serce — gdzie chwast jadowity
Rozwija kwiat niesamowity...
Wśród skał uporu,
Atramentowy liść, krwi koloru...

Serce me i szczerze i fałszywe...
Pełne sprzeczności... wielobliczne...
Niepowściągliwe...
Hyperboliczne!
Nie mogące wyżyć inaczej,
Jak w szale rozkoszy, lub rozpaczyl

XVII

Ażeby miłować się oczyma,
Wykąpmy je w krynicy
Przezystych widoków!
Niech się oplócą z tych tysiącznych wzroków,
Z którymi je skrzyżował przypadek ulicy
I mus pielgrzyma.

Świt posiał po kwiatach rosę,
Jakieś pióra srebrne i złote
Ponatykał we mgły długowłose,
Wlokące po ziemi ich pieszczotę —
Zadrżały w odpowiedź na te muski
Nasze urocze stawy, dostając złotej łuski;

Na powietrze spłynęły szmaragdowe żagle,
I nagle:
Wielki blask! — przez pola, drogi, zmiata
Ostatni popiół nocy za krawędzie światła!

XVIII

Niebo zasnuwa się cieniem,
Księżyc czuwa nad śpiącym milczeniem.

Wszystko jest tak jasne, przezroczyste,
W powietrzu i na stawach,
Jasne i przezyste,
Nawet tuman lustrzany lśni na trawach.

Jakiż niepokój do tego czaru
Wnosi ta kropla — która co chwilka
Kapie z szuwaru....
Jakiś czas dzwoni
W powietrzu — i umilka
W toni...

Ale mam dłoń twoją w dłoni
I spojrzenie twe w spojrzeniu mojem!
A twa cała istota oddycha
Tak spokojem...
Niefrasobliwa
O nic w świecie
I cicha...
Że ufność pomiędzy nami spoczywa,
Jak na łonie u matki śpi dziecko.

XIX

O niech te oczy lata
Z ich złotem spojrzeniem
Staną się dla mnie wszechpiękności świata
Wyobrażeniem!

Niech od dusz naszych z płomienia
Zajmą się ogniem nasze myśli i marzenia.

Niechaj ci będą symbolem szczęścia me dłonie,
Złożone u ciebie na łonie.

O bądźmy, jak dwie morzem lejące rybitwy,
Dwie do siebie modlące się modlitwy!

Niech nam ust naszych pocałowanie
Symbolem życia się stanie.

XX

O powiedz, czyż ten ogród, po którym w milczeniu
Przechadzamy się, dłoń w dłoń, po światłocieniu,
Nie jest-że on wiernem odbiciem
Tego, co w nas kwitnie wewnętrznem życiem?

W nas są te palmy — te wszystkie drzewa
Takie wspaniałe — kwiaty rozliczne —
W łzach i uśmiechach, w które się wlewa
To szczęście nasze ciche i śliczne.

W nas są te stawów naszych z wichrami zatargi,
I wszystkie ich marzenia szklanno-białe
I te słońca palce i wargi:
Lilje strzeliste i róże ociężałe.

My przeżywamy to wiosny święto!
Jego kwitnące wrzawy i strzały,
Są naszą ekstazą wniebowziętą,
I są w naszej adoracji struchlałej.

O powiedz, czy nieprawda, że ten ogród wdzięczny,
Po którym przechadzamy się dłoń w dłoń w milczeniu,
Tak odzwierciadla się w strumieniu,
Jak się w nim nasz odbija wirydarz wewnętrzny?

XXI

W chwilach, gdy tak się jedno w drugim zaprzepaszcza,
Że świat się nam zapada w noc nicości czarną —
Jaki sakrament krzyżmem, czy też krwią ofiarną
Ku przejęciu nas wszystkiej miłości namaszcza?!

Padamy na kolana — choć jako niemowy...
Gest modlitewny ramion jest bezprzedmiotowy;
Modlić się, modlić się nam jest błogo,
Choć nie wiemy... nie wiemy do kogo?!

Życia najwyższe napięcie
Rzuca nas w Nieskonczoności objęcie,
Przechodzące ludzkie nasze pojęcie!!!

Bezpryтомne — pozaświadomne
Przeżywamy momenty ogromne!

O powiedz, jaką dla duszy jest potrzebą
Odnaleźć Nieśmiertelnych i niebo?!

O, radości na skrzydłach płochliwych,
Najodważniejsza ty, nadziejo!
Powiedz — o, gdyby tak śmierć miała być wierzeją
Do tych milczelni przeraźliwych?!

XXII

O szczęśliwość ta nasza droga!
Jak rzadka — jak nietrwała jest i krucha..
Aż jakaś zdejmuje trwoga?!..

Napróżno szeptem sobie mówimy do ucha,
Namiot ciemny
Nad głową rozpiąwszy z twych włosów —
Próżno! i tu się wślizga niepokój tajemny..
Jakgdyby stanął cień zawistnych Losów?!..
I lodem dmucha...

Anioł nasz wtedy pada na kolana
I przyszłości kornie uprasza,
Ażeby wszystkim sercom była dana
Szczęśliwość nasza —
By z ciernia w każdej dłoni wykwitła stulista!
By żadna dusza, krzywdą swą zawistna,
Nie rzuciła na nas złych uroków!

A kiedy dach obłoków
Katastrofa kruszy,
Obezbrzeżając rozpacz do gwiazdnych bezbrzeży:
Błagamy Wielkiej Nocy, wśród łez i pacierzy,
Aby nam przebaczyła słodycz naszej duszy!

XXIII

O, idźmy wprost w miłości samo słońce!
Wyzwólmy nasze najzuchwalsze myśli,
Harmonijnie w ekstazie się schodzące,
Byśmy się jak te bańki w tem słońcu rozpyśli...

Twoje i moje zamieszkuje wnętrze
Jakaś potęga cudza?!...
Niekiedy coś czystsze, coś świętsze,
I nieskończenie od nas wyższe się obudza..

O, nic nie mamy dla jego wystowień
Tylko okrzyki nasze i lzy skromne...
Czar ten, co częstych nie lubi ponowień,
Napięcia za to miewa tak ogromne,
Że mdleją dusze z czaru nieprzytomne!

Uwielbijmy na klęczkach, milczący,
Tego Boga, co w nas się objawia,
Tak gwałtowny, a słodko palący,
Że nas przytłacza i że ból nam sprawia!..

XXIV

Niech tylko usta dotkną wargi drogiej,
Snać od tej iskry, którą z siebie sączą.
Budzą się, rzekłbyś, dwa śpiące w nas bogi,
Co się kochają w nas i przez nas łączą!

Światłość nam serca zalewa niezmierna,
Ta światłość twórcza, która je odradza
I na świat bucha chrztu tego cysterna:
Świat nam się w oczach dziwnie rozpogadzał

Radość jest dla nas powszechną zasadą,
Wszystkiego życia pierwotnym żywiołem,
Tego, co ziemskim tu płynie padolem,
I co tam dane planet mirjadom.

Radość jest tchnieniem tych ognistych kwiatów,
Żaglem płynących po bezmiarze światów.

Wszystko nam świeci—nawet bólu ostrzel
Wszystko harmonji, zda się, rytmem dyszeć...
Tak nas czarują nasze wyrazy najprostsze,
Że wciąż je powtarzamy, aby je wciąż słyszeć!..

Jesteśmy zdobywcami z boskiego porządku!
Bo wieczność boską jest naszą zdobyczą:
Czas dla nas stanął, chwile się nie liczą,
I nasza miłość nigdy nie miała początku!..

XXV

By żadna chwila nie była wyblakłą,
Żaden kwiat w naszym wieńcu ominiętym,
By w związku tak głębokim, że się stał aż świętym,
Niczego, co nami jest nie brakło:
Niechże i ciało weźmie dział swój z godów—
Schodzimy obydwójce do jego ogrodów:

Piersi twe wznoszą ku mnie dwie swoje ofiary,
Pomiędzy licem twem, a łonem
Błakają się dwa białe, kwieciste konary...

Kłomb włosów twoich, uwolniony z pętów,
Roztoczył po wezłowiu posrebrzonym
Niezliczone gerlandy czarnych hijacentów.

Noc błękitna jest naszą przeczystą pościelą!
Wiaterki nadlatują omusnąć wirowo
Dwie ogromne lilje, co się bielą,
Wystrzelone w rozfocz księżycową.

XXVI

Jesień już dziś!..
Wieczorem —
Obdarła z krwi jarzębin kiść!..
Borem,
Przez błonie,
Zwolna, jak złote dłonie,
Siał żółty liść!..

Jesień!
Wichroramienna,
Zaczęła zbiór,
Ramionami z wichrów — bezsenna —
Obdzierała sady trzesień,
I bór,
I krzaki róż
Kryształowym batem
Z ostatnich kwiecistych ich uniesień!..
O, nie dajmy jej nic obtrząsnąć z naszych dusz,
Razem z tym kwiatem.

Uciekajmy do tego ogniska,
W którym złoto najdroższych wspomnień błyska
W pamięci!...

Przytulmy się piersiami i plecyma
I płaszczem, który stach trupiożęci
Odyma...

Przed mar żalobnych długim korowodem,
Które ciągną w Przyszłości opończył
I przed samymi sobą... i przed lodem
Tego czasu, co wszystko kończy...

O, zespólmy dłonie jeszcze ściślej!
Nie dopuścimy do wnętrza jesieni —
Tam, nic różom nie ścięło czerwieni:
Słychać w słońcu krok równy naszych zgodnych myśli!

XXVII

Oddanie ciała — po oddaniu duchów —
To krok już tylko ostatni na drodze
Rozpędzonych ku sobie dwóch ruchów!

Ja w coraz wyższe regiony wchodzę,
Corazem czystszy i win dawnych próżny,
Odkąd twe ciało — o które cię proszę —
Dajesz mi aktem królewskiej jałmużny.

Twoje zaś piękne, jak maj świeże ciało,
Dla tego tobie przynosi rozkosze.
Że się mojemu na ucztę oddało!

O, niech nam miłość będzie bezpieczeństwem,
Jasnowidzeniem — i racją jedyną
Życia i jego ostatnią przyczyną —
Żyjmy na ślepo! żyjmy serc szaleństwem!

XXVIII

Byłyż kiedy radości takie, czy nadzieje,
Czy dobro jakie, które u nas w polu rośnie —
Byśmy go nie rzucali, jak się zboże sieje?..

Czy była kiedy taka wyciągnięta ręka
Potrzeby — serca, które pęka,
Nie przygarnięta przez nas do piersi miłośnicze?..

Czy cicha iskra życzeń, czy ognia porywy,
Którymby nie podlała nasza dłoń oliwy?!

Kochające się z sobą serca nasze
Poszły po świecie, jak apostołowie
Do serc, co urodziły się już wdowie...
Które drżą w dłoni, jak pojmane ptaszę...

Związaliśmy je w te święte z sobą związki,
W których miłość wyznaje się i sławi!

Jak przywiązane są do swej gałązki
Kwiaty, które ta gałąź na łonie wynasza,
W słońcu i w rosach pławi.

Rozszerzyła się przez to dusza nasza:
Ukochaliśmy miłość dla niej samej,
I to wszystko, co kocha ją i błogosławi,
A ona duszy rozsadziła ramy —
I wszystko to, co niebem się zniebieszcza,
W duszy się naszej pomieszcza:
Świat, który do szaleństwa Kochamy!

XXIX

Ten ogród, co był sobowtórem
Wewnętrzny dusz wirydarza,
Kryształowym powlókł się dziś konturem,
W którym złoto i szyba przeważa
Nad albastrem i płowym lazurem.

W marmurowe horyzontu dale
Ciągną sznurem drzewa osędzale,
Wlokąc z sobą wielkie, sine cienie,
Jak z ramienia zwisające szale —
Nieskończone tam, białe

MILCZENIE

Na tronowym zasiadło kryształ

Najmniejszego przewiewu wiatarka,
Tylko mrozu nieugięta wola,
Nad moczarów srebrzyste lusterka
Rozpostarta od pola do pola,
Nieskończonem płótnem nieruchomem,
Nad ogromem tak, jak nad znikomem,
Nad rozlogi — w krzyż złożone drogi...

O, jak dzisiaj te gwiazdy są żywe!
Każda gałąź nosi srebrną grzywę,
Każdy listek w brylantowej śniedzi,
Płomyk w każdej kryształowej różdżce,
Rozpylone mżą kosztowne kruszce,
Z których welon do ziemi się mości
Ostroslupem od księżycy miedzi

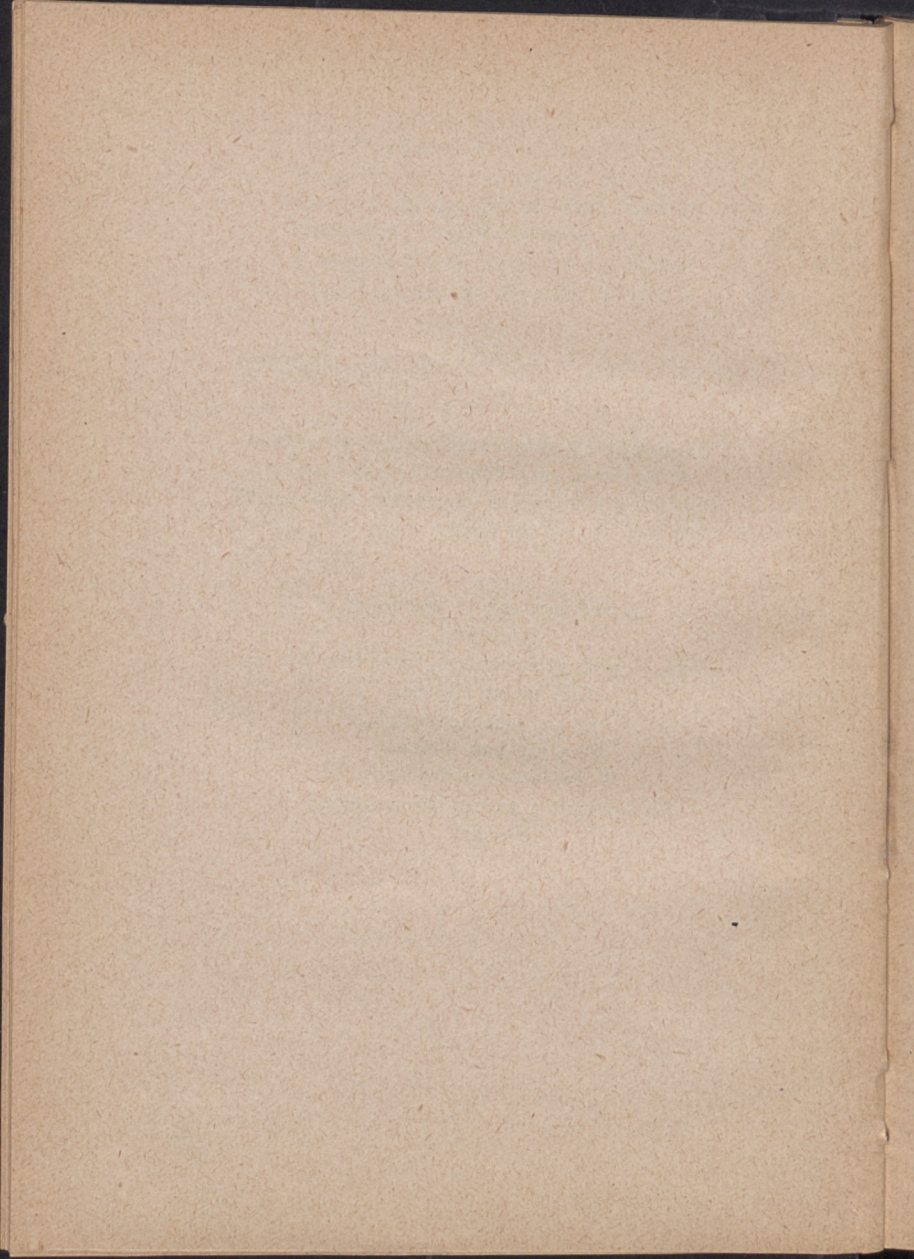
I wszystko jest dokoła blask w nieruchomości!

Godzina boska! — gdy na losów sprzeczność.
I nędzę ziemi gwiazdami patrząca —
Nawiedza ducha — wzrokiem gwiazd go trąca,
Dobra, przeczysta i niezmienna WIECZNOŚĆ!

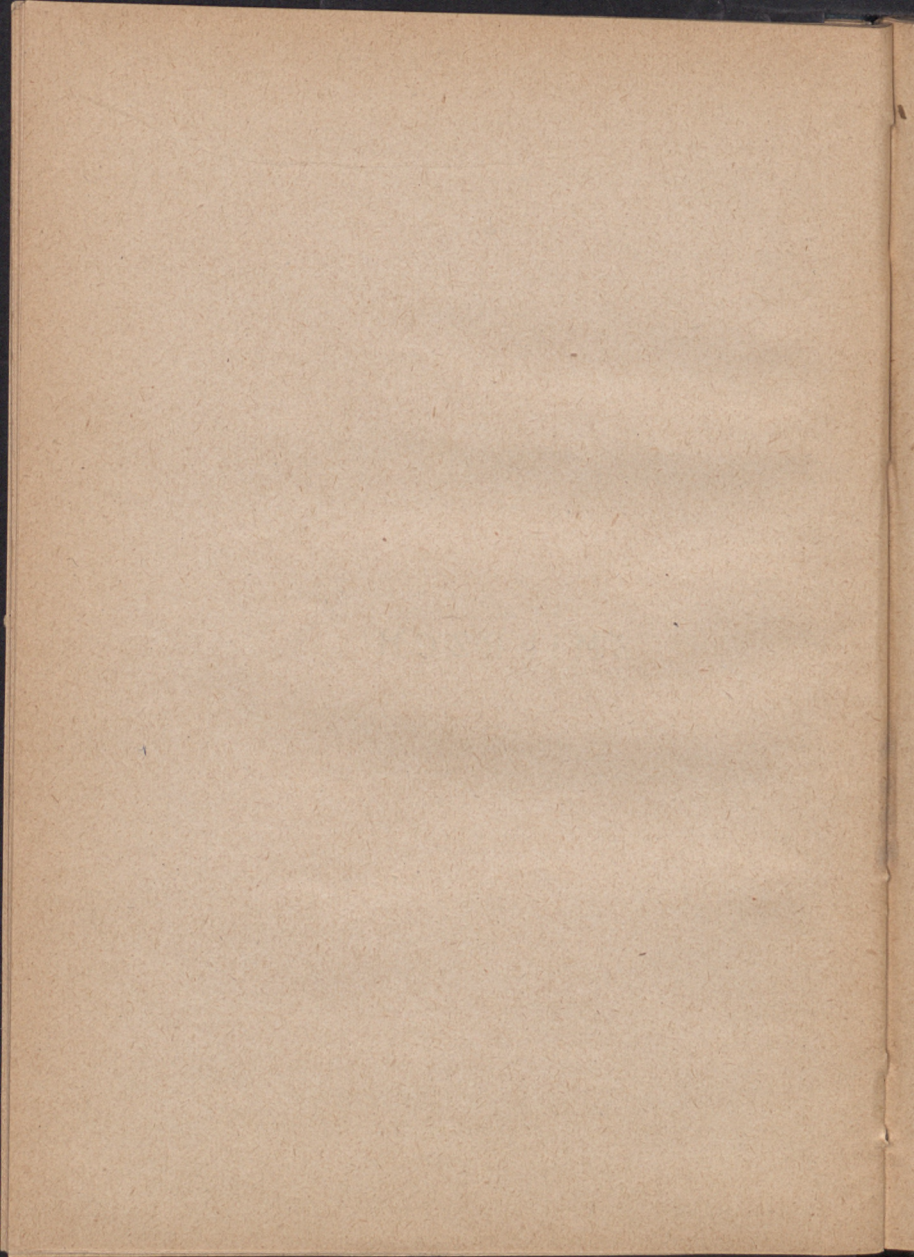
XXX

O, gdybyśmy się mieli stać kiedyś, straceńcy,
Jedno drugiemu: klęską i zgryzotą?!
O, przytulimy się jeszcze do siebie, tem więcej,
Całą istotą!

I bądźmy, jak ci wspaniali
Szaleńcy,
Którzy — pod strzaskanem firmamentem —
Gdy świat się wali,
Pną się jeszcze wyżej...
Pną się bez końca...
W zaślepieniu świętem,
Ażeby zginąć razem jak najbliżej
Słońca!



ZMIERZCH



I

Wiek zbliżał się dzień za dniem, krok za krokiem,
I na jasne miłości naszej skronie
Położył chłodne dłonie
I przygasłym popatrzył na nią wzrokie.n.

Nasz ogród, już lipcową przymięty spiekotą,
Stracił dziś dużo ze swych szalów i czerwieni;
Szorstkie, zawistne słońce kręgiem twardych cieni
Zaczyna już obwodzić swe złoto.

Ale jak zawsze pyszne te róże miesięczne!
Jak strzelają do słońca różem z łona twórczem!
Serc naszych nienasytnych korzenie tysięczne
Wrzynają się wciąż głębiej w grunt szczęścia i prężą,
Trzymając się go szponów swych skurczem,
Im bardziej lata nam ciężą...

O najpiękniejsze te róże jesieni,
Co się, uparte, pną po szczeblach wieku,
Przytulając policzek z płomieni
Do ramion drżących w kropel zimnych ścieku...

Ó szczęście może największe na świecie
Po tylu latach, co studzą,
Czuć serce swoje zawsze w takim kwiecie,
Jak gdy go z pączka budzą.

Gdyby los nawet zdarzyć chciał inaczej,
I ta miłość mi była przyniosła cierpienie,
Kochałbym jeszcze za cenę rozpaczy
Te róże uporczywe, co pną się aż w jesienie...

II

Róże czerwcowe, wy królewne
Różanych lata orszaków —
Gwałtowne, a spokojne a tak zwiewne,
Jak na gałęzi zlot wędrownych ptaków.

Z sercem przebitem od słonecznej strzały,
Róże czerwcowe o milczące szaly,
O usta jędrne, pocalunki świeże,
Pojmane w wietrzyka węcierze,
Który wam daje spoczynki i wzruszenia,
Suwając po powietrzu pieszczotę światłocienia.

Róże rozkoszy w królewskim szkarlacie,
Które bez końca
Przez cały dzień czerwcowy się kochacie
Otwarcie w blasku słońca.

O, wszystkie róże nasze: rubinowe, białe,
Złote, drobne i okazałe,
Wy, żądze nasze, we wszelkiej ich fazie —
W dygoczącej rozkoszy i w słodkim znużeniu
I w uciszeniu
Po ekstazie.

III

Inny już kwiat dokoła klombów kroczy,
Inną się trawą pokryła okolica —
Ale te same zawsze lśnią stawów wodne oczy,
Wśród ruchliwego ich lica.

O powiedz, z jakich krain dalekich, zaklętych,
Ptaków nieznanych do nas przyleciało stado,
Niosąc nam tyle słońca na skrzydłach rozpiętych!

Kwiecień ze swoją liljowością bladą
Ustał już szkarłatnym czerwca tonom;
Wietrzyk jest słaby, a przestrzeń rozpaloną;

Powietrze skrzy radośnie w złotych muszek mrowiu
I Lato tak przechodzi w płaszczu ze złotogłowiu
I z djamentów.

IV

Cienie są szkliste, tęczowe niebiosy,
Z gałęzi, z której ptak uleciał wzwyż, tak lekko....
Kropelki rosy
Cieką....

Ranek biały
Ma taką przejrzystość i lśnienie,
Że zda się przebyskują w powietrzu kryształyl
Wysłuchujesz się w szmer źródła, słyszysz piór pomknienie...

Tą wczesną porą
Oczy mi się twe pamiętniał
Gdy wszystko srebro świtu stawy w siebie wbiorą,
Czoło twe także świeci, pulsa twoje tętnią.

Dobroczyzna moc życia, jego boska władza,
Tak ci przepelnia piersi i aż je rozsadza,
Że by szął jego opętać wszechmożny,
Nagle chwytasz me dłonie
I do piersi przyciskasz trwożnej,
Jakby ci miało serce pęknąć w łonie.

V

Niosę ci w ciału mojego kielichu
Tę radość, której w siebie się nabrałem,
W jedwabiach wiatru nurzając się ciałem
I w złotym słońca pluskają przepychu.

Rzeźwe mam stopy od deptania trawy—
Od serca kwiatów, których dotykały,
Miękkie są dłonie, białości srebrnawej,
A oczy moje czyste jak kryształy,
Od łez, któremi często zachodziły,
Gdy piękność świata była ponad siły.

Przestrzeń porwała pijanego szalem
Ramionami ze światła ruchliwemi
I niosła mię przed siebie — aż krzyczałem,
Zniewolony odrywać się od ziemi!

Niosę ci w sobie bukiet aromatów —
Wdychaj je w płuca ze mnie z całej siły;
Macierzanki palce mi pieściły;
W ciele mem jest blask, przestwór i twórczy wiew światów.

VI

Usiądźmy na tej ławce, co się słońca lęka,
Pokryta mchem, zczerniała w cieniu drzew dorodnych,
I niech tak długo zostanie moja ręka
W dłoniach twych, niezawodnych!

Słodko jej czuć się na twoich kolanach,
I serce kładzie się na ich słodczył
Cisza namiętna, jak piano w organach,
Ni pocałunków sobie, ani słów nie życzy...
Tylko jest miłość i czar niepowszedni
W tem, że czujemy się tak strasznie jedni!

Nie wiem, jak długo jeszcze w zdrętwieniu żądz bujnych,
Czas by nam płynął tak słodko powolnie...
Gdyby nie nagle drgnięcie twoich dłoni czujnych,
Którym uścisnął, mimowolnie...

O w dłoniach tych cały mój skarb spoczywa,
Wiem, że ich nie skłonią żadne siły,
Aby te głębie naruszyły,
Któremi żyje serce — a których nie nazywał

VII

Bardzo łagodnie, jeszcze łagodniej
Kolysz mi głowę na swoim łonie:
Zmęczone oczy, gorące skronie, —

Bardzo łagodnie, jeszcze łagodniej
Całuj mnie w usta i mów mi słowa
Z każdym dniem słodsze, z każdym dniem prawsze,
Kiedy je twoja wymawia mowa:
Że mi oddałaś się!... i że cię kocham zawsze!

Ranek wstał dzisiaj zły i ponury,
Noc przerywały sny niespokojne,
Po szybach naszych dźwięczały zdrojnie
Włosów deszczowych stalowe sznury,
Horyzont czarne zawlokły chmury...

Lecz tyś jest moja dobra jutrzienka,
W twych słowach świeci jej światło złote,
A Twoja ręka
Ma jej pieśczętę...

Dzięki jej codziennie bez bólu wchodzę
W kołowrót mojej pracy codziennej,
Która zostawia na mojej drodze
Znak cenny...

Dzięki jej jestem w złotej prawicy
Wielkiego Życia pięknem i siłą
W rodzaju błyskawicy!

VIII

W tym domu, gdzie się miłość urodziła nasza,
Gdzie sprzęty i pokoje
Są to nasze swatki,
Gdzie wszystko rosło z nami—i z nami się znasza...
Tu, odcięci od świata, żyjemy we dwoje —
Róże w oknach jedyne patrzą na nas świadki!

Ten dom, pełen dusz naszych od progu do sklepień,
Miewa latem tak piękne południowe cisze,
I takie dni wybrane przesłodkich pokrziepień,
Że zatrzymuję zegar, gdzie się czas kołysze,
Aby zatrzymać życie...

Nic nie szeleśnie wtedy, nie pluśnie,
Nie skłóci...
Chwila jest taka nasza!—że lot, co nas muśnie,
Słyszy mego i twego tylko serca bicie,
Które na siebie nagły uścisk rzuci...

IX

Okno otwarte
Kochana pracal—
Przez kartę,
Którą słoneczny blask pozłaca,
Wieńcem ruchomem
Gonią się listków zielone cienie..
Słońce nad naszym poważnym domem
Zawiesza namiętne swe milczenie.

I kwiaty w okno me żywo zwracają głowę,
Po zielonych gałęziach ogromne owoce
Ukazują mi się złote i purpurowe..
A ptak pod oknem mem świergoce, a świergoce,
Aby mi wiersze tryskały z pod pióra
Tak jasne, szczerze i świeże
Jak ptasie piosnki, i z piórek odzieże
Miąszu i płatków bursztyn i purpura.

I ciebie widzę zdaleka w ogrodzie
To przez słońce to przez cień—w przechodzie—
Ale się ku mnie głowa nie obraca,
Aby nie zmącić godziny,
Którą zajmuje praca,
A której serce me zazdrośnie strzeże:
Własności świętej i jedynej
Tych poematów słodkich i szczerych, jak pacierze.

X

W miłości naszej mieszka wszelka wiaral:
Jakąś głęboką, w sobie myśl mają drobnostki:
Puszczające z korzenia na wiosnę wyrostki,
Opadająca róża,
Synogarlic para,
Gniazdo, które w noc jedną znlweczyła burza,
Żuk, co się w gryza
W pierś centyfolji, lub w oko narcyza —
Wszystko dla nas coś z n a c z y...
Tamtó: tragiczna walka — to święta ofiaral
Powód do naszej uciechy lub rozpaczy.

Niech rozum śniegiem swoich uspokojęń,
Te prześliczne wzruszenia ochładzal
My się nie wyrzekniemy ich lez i upojeń!
W tem szczęście nasze, że jesteśmy dzieci,
Dla których jest fatalna lub dobra w nich — władza,
Że nie pytamy, czy ich czar obleci...
Zło w nich, czy dobro, prawda, czy uluda?!..,
O, zamykajmy drzwi i okiennice
Od tych z a m ą d r y c h, co niweczą cuda,
I wszystko wywracają na nice...

XI

Przestrzeń i morze — góry i lesiste głusze,
Dzień i noc — ze wszystkimi stopniami jasności —
Wlewają treść swą w naszą gorejącą duszę!
Ci, co żyją miłością, żyją już w wieczności...

To nic — czy im zezwoli rozum, czy zakáže,
Czy im oświekli porty i bulwarów brzegi,
Wznosząc oślepiających latarni szeregi —
Oni są mórz z zaświata zbłąkani żeglarzel

Wpatrzeni w dzień, co z miejsca na miejsce przechodzi
Dalszy od oceannych fal długiej kolei,
Z rysów pewności twardej i chwiejnej nadziei
W ich się namiętym wzroku jedna twarz urodzi.

Radośni, widzą gwiazdy w najczarniejszem niebie,
Ich dusza ma w swej głębi blask nagłych odgadnień,
Które rzuca na czoło najwyższych zagadnień —
Im dla poznania świata dosyć badać siebie.

Oni idą drogami swej własnej natury
Za prawdą, co im wewnątrz świeci, pod powieką.
Prości i szczerzy — żyją głęboko, a lekko...
Dla nich jednych śpiewają jeszcze rajskie chóry!

XII

Gdy lampa się zapala — jestto najmilsza z pór! —
Jak się tu — wtenczas robi kojąco i miło...
Cisza jest taka — że słyhaćby było
Spadanie piór...

O, lubię to!.. gdy lampa się zapala,
I do pokoju mego wchodzi UKOCHANA,
Jak dym i fala
Cichutko opada,
Ręce spokojnie złoży na kolana
Nie gada
Nic!... ale ja myśl jej slysze!
I duszę, co się przez oczy wydala
I na krawędzi powiek, jak motyl się kołysze...
Całuję!..

Wtenczas stopniowo, pomału,
Uczucie jak dym myrry w zwierzeniach się snuje
Z głębin serca, co przezrocza ma kryształu...

O lubię ja tę zaświecań godzinę!
Z gawędą słodką, o treści tak nikłej:
Że ktoś tam dzisiaj przychodził w gościnę,
Lewkonje wzeszły, gardenje zanikły,
I pierwszy owoc zapala się w sadzie...
— Dużo w tem milczeń, a żadnych wymuszeń —
„Wiesz?... w zardzewiałej znalazł się szufladzie
Bilet z przed laty“!.. zbladłego ołówka
Dawno przebrzmiały, zapomniane słówka
Wskrzeszają nagle w duszy zapadły świat wzruszeń!

XIII

Umarłe pocałunki wiosen pogrzebanych
Zostawiły ślad siny na twoim marmurze,
Pod ostrym wiatrem lat nieublaganych
W wirydarzu twych rysów poschły pierwsze róże —

Nie widuję już w twojej żrenicy szerokiej
Tego blasku, co ongi w solenne zarania —
Ani na czarne włosów twych potoki
Twa głowa powolnie się tak skłania...

Opadł z twych ramion biały puch wiśniowy!...
Jak szczyty gór budząca jutrzienka,
Już się mej śpiącej nie dotyka głowy
Z kroplami światła u palców twa ręka —

Wszystko czas zmienił w tobie — nawet głos masz inny...
Kruszy się zwolna marmur ciała twego dumny,
O który wsparte były, jak o mur rodzinny,
Tryumfów twoich kolumny!

Ale już miłość swoją przerosła przyczynę!
Otchłań dusz naszych taką głębię mierzy,
Że kiedy miłość w taką zapadnie głębinę,
To od piękności miłość już nie zależy!

XIV

Już lat piętnaście, jak myślimy razem!
Jak płomień nasz zwycięża nawyknienia nudę,—
Wiedźmę o schryętym głosie, której ręce chude,
Szorstkie i twarde tkliwość powlekają głazem...

Codzień odkrywam ciebie—choć codzień patrzę...
Twa wyższość i twa słodycz mają wieczne schody...
To prawda, że czas przyćmił oczy twej urody,
Ale wy dobył serca piękności najrzadsze.

Ty mi się obserwować dajesz dobrodusznie...
A duch twój się objawia wciąż nowy i świeży —
Okręt szczęścia naszego przebiega posłusznie
Żądź naszych nieprzebranych morze bez rubieży...

Kotwicy on swej w lotnym nie osadza piasku,
Lecz nagą skałę serca za grunt dla niej bierze —
Czynimy wszystko zawsze w słońca pełnym blasku,
W radosnej zaufania widnej atmosferze.

Twój powab to ten kryształ i ten bluszcz twój miękki
I to, żeś w nocie życia, przez dróg jego krętość,
Przeniosła ogień w sercu, jak w monstancji świętość,
W swej duszy dziecka wszystkie promienie jutrzeńki!

XV

Myślałem, że już koniec naszemu weselul
Gdy niemoc, co się nocą czai przy wezglowiu,
Zawlokła mię na swoje poddasza z ołowiu,
I przytwierdziła do nudów fotelu.

Lękałem się jak dziecko, każdego widoku,
Lub go poczytywałem za majak niemily....
Wzrok chory słonecznego nie mógł znieść potoku,
Ręce lampę naszego szczęścia wypuściły....

Pragnienia moje były, jak kłujące osty,
Które wiatr do złych z sobą nagina zahaczeń,
Serce ognia i lodu przechodzące chlosty,
Uschle i stwardlc nie znało przebaczeń...

Ale tyś z niezmiernego miłości ogniska
Dobyla dla mnie slowo, o mocach bezcennych!
Ono mi w dniu bez wrażeń było tem, co błyska,
A tem, co grzeje, w nocach cierpienia, bezsennych.

Ja wciąż byłem w twych oczach tym samym moczarem
Ja, który tak przed światem i sobą złałem....
Kwiat mi rzuciłaś w okno, chodząc wirydarzem,
Twa wiara w wyzdrowienie była kordjalem

Tyżesz mi przynosiła w faldach swej sukienki
Rzeźwy wicher streszczony, jak jagody w trunkach —
Wszystkie wonie wieczoru, i rosę jutrzeńki
I słońce w przejmujących twoich pocałunkach!

XVI

Wszystko, co piękny nasz ogród zaludnia,
Co pławi się w słonecznej topieli
 Poludnia,
A wietrzyk wiąże z sobą, polęcza i dzieli:
 Delikatne, gałązki, murawa zielona,
 Ptaki, rój pszczeli,
Wszystko, co tak namiętnie na słońcu się parzy
 W klejnotów barwne grona,
Wszystko to miłością nas darzy,
Przez nas serdecznie kochane nawzajem...
Miłujemy tę lilję, co w oczach nam wyrosła
 I słoneczniki,
 Których lodyga wyniosła
Zwiesza w dół z bronzu tarcze wyłoczone krajem,
 W gorejące wiankiem języki:
Do duszy nam sięgają te płomyki,
Najpospolitsze kwiaty, floksy i nasturcje
Dlatego rosną pod murem i przy furcie,
Aby się o nas otrzeć choć w przechodzie,
Kiedy, milczący, błądzimy po ogrodzie.

A kiedy przechadzamy się po łące,
Naiwne kwiatki, prostoduszne ziola
Podnoszą na nas źrenice lżą błyszczące,
Lub wydają westchnienie wonne, które woła.

Tak z ludem drzew i kwiatów, my nowe Adamy,
Wspaniale nasze lato przeżywamy —
Szczerzy i prości,
Jak białe kryształy
I jak świat cały
W słońcu zgubieni miłości,
Śmiało na żar swe dusze i ciała wystawiamy,
By je poprzesywały na wskroś słońca strzały.

XVII

Zmysły, serce i dusza — cała ma istota —
Ku tobie kloni się, jak za wiatrem zgodnie
Pochylają się razem trzy pochodnie,
Którymi on, gdzie chce, miota.

Kocham cię i wielbię cię ogromnie!
I w pokornej schylam się podzięce,
Żeś ze swojej wieczności bezdennej przyszła do mnie
I wzięła życie moje w swe dobroczynne ręce

Odtąd twa miłość, jak złote niebiosy,
Rozpościera się nad mą duszą ukojoną
I spada na nią, jak rosa,
Na opok lono.

Twoim jestem przez wszystkie te namiętne więzła,
Które płomienie związują w ognisko —
Jak drzewa są jego gałęzie

Jesteś mej myśli nieustannie bliską:
Jak księżyc w nocnym niebie stoi w niej twe lice!
Rozważam wielkie serce twe i ciało wiotkie,
Aż mi nagle zasłonią źrenice
Łzy słodkie....

Z postanowieniem szukam cię gorącym:
Stać się dla ciebie źródłem wciąż bijącym,
Echem na wszystko to, co w tobie woła —
Chwila jest wielka — ekstaza wybucha —
Drżą palce moje ledwie dotkną twego czoła,
Jakby się dotykały skrzydeł twego ducha!

XVIII

Gdy zdrowie ze świeżością i siłą w zespole
Czucie istnienia czynią uczuciem radości,
Praca kochana ze mną zasiada przy stole,
Jak przyjaciel, którego się gościł

Przybywa z krain, gdzie się wiosna wciąż odmładza,
Przynosząc w sakwie pięknych słów kryształ,
Które mi myśli me i uczucia wysadza,
Jak biżuterje, lub średniowieczne mszały.

Umysł na gigantyczne stawia piedestały,
Chwyta istotę całą w huraganie srogiem,
Wlewa ogień, którym się gwiazdy zapalały,
I pozwala na chwilę stać się Bogiem.

Rozpacz piekielną, radość niebosięgłą
Tragiczna wola w jeden środek zbrata,
Aby odrodzić krew piękna zastrzegłą
W tętnicach świata.

Jestem w jej mocy rzeczą bierną, a zaprzysięgłą!

A gdy mię wyczerpanie wreszcie zubożętni,
Kiedy upadam, zmięty huraganem,
Na miłości twojej wezglowie...
W sercu zdyszanem,
W płonącej jeszcze głowie,
Rytm ci przynoszę, którym serce świata tętni!

XIX

Z zarośli snu wyszedłem cokolwiek markotny,
Żeś się została jeszcze ty, Kochana,
W jego liściastych cieniów gęstwinie samotnej,
Zdała od radosnego, słonecznego rana.

Błądę po ścieżkach budzących się pomalu,
Ogród błyszczący od floksów i od róż naręczy,
Myśląc o wierszach mych ze srebra i kryształu,
Którymi powietrze się rozdźwiewczy...

I niespodzianie skręcam w domu stronę,
A zdaje mi się, że, podobna gońcu,
Myśl jeszcze kroki wyprzedza
Przyśpieszone....

I że już snu twojego rozdarła oponę,
By obudzona rychlej samowiedza,
Rychlej poczuła radość spotkania się w słońcu!

Śpi dom nasz miły — cisza go obsiada —
Odnajduję cię w twoich muślinach,
I dźwięcznych mych całusów rozlegnie się *obada**)
Po ciała twego dolinach.

*) *A u b a d e* nazywała się za czasu trubadurów pieśń, którą przyjaciel, całą noc wartujący pod oknem kochanków, budził ich o świcie, dając znać, że trzeba strzedz się zazdrośnego męża, lub potężnego rywala.

XX

Gdy z utraconem zdrowiem
Krew skąpa i leniwa,
A codziennie uboższa i więcej senliwa
Nalewała mi żyły choroby ołowiem,

Gdy biedne oczy moje w obrzęklizny wałach
Na wychudzonych rękach śledziły posępne
Pieczęcie, o śmierci inicjałach,
Które mi je znaczyło co dzień zło podstępne!..

Gdy już nie mogłem — siły tak były zwątlone —
Zgodnie z codzienną potrzebą
Przycisnąć ci do serca usta me spalone,
By ucałować w niem swe niebo.

Gdy życie wielkie jak morze — powoli
Dzień monotony zwięził do swego strumyka,
Nigdybym nie był w sobie znalazł tyle woli,
By się wyprężyć w monumentalny gest stoika!..

Gdyby twe ręce pewne, a kochające
— Dzień po dniu, godzina po godzinie —
Nie wlewały mi były — przez długie miesiące —
Heroizmu cichego, który w tobie płynął

XXI

Zdrowie — to ogród zielony!

Oto uslužne
Listowie
Rozdaje światła jałmużnę:
Światło to zdrowie!
Dloniaste palmy i klony,
Tu i tam chodząc, jak dzwony...

A trudem zwalone znużenie,
Kroki ustęłe — skończone boje,
Pocziwe cienie
Otułą w swoje
Uśpienie,
Aż sił wyschnięte trysną znów zdroje!

Gdy s'aw w wichrowej jest rozterce,
Albo go słońce do dna pali,
Młode, czerwone w nim serce
Drga z rytmem fali!

A gladjolusy i róże
Z majestatem
Greczynek na głowie
Kruże
Niosą z winem i szkarłatem...

Ogród zielony — to zdrowie!

XXII

Było to w czerwcu, gdy lato się zaczyna,
Był to nasz ogród, nasz dzień i godzina...
Z miłością patrzyliśmy na rzeczy

Taką...

Że nam się zdało,
Iż z pod listków pieczy
Róże otwierają się nieśmiało...
I widzą nas... i przykro odlatać od nas ptakom!

Powietrze, było jak nigdy, przejrzyste!
Wszelakie skrzydło pławilo się słodko
W jego złotej materji, która jest tak wiotką,
Że od niej myśl nie jest lętsza...

A pocałunki nasze: tak piękne, zaiste,
Że podnosiły czar lotu i powietrza...

Rzekłbyś, że jest to szczęście, które przeszło w lazur!
I chce nieba całego, by się obezbrzeżyć...
Życie świata, jak woda przez pęknięcia glazur,
Sączyło się w nas błogo, aby nas rozszerzyć...

I porwał nas szalony wicher egzaltacji:
Szept modłów i ślubowań — krzyki inwokacji
I silna, jak śmierć, potrzeba:
Bogów i nieba!..

XXIII

Hojność ci nie wystarcza, jesteś marnotrawną! ..
Szał twój, żeby się kochać coraz bardziej, bardziej,
Wznosi falę uczucia coraz wyżej, bardziej,
W pełne niebo miłości, w raj marzony dawno...

Wzrok czulszy cię rozpala, uścisk rąk łagodny
I piękno twego serca nagle mię oślepi:
Boję się oczów twoich... ust nie widzieć lepiej!..
Ty mnie zanadto kochasz—jam tego niegodny...

O miłość jest za wielką dla nędzy człowieka!
Którego serce o każdej godzinie
Patrzy bezsilne, jak wszystko ucieka,
Aż win i żalów pełne we łzy się rozplynie ..

XXIV

Cisza w ogrodzie—nic się nie porusza,
Tylko tam w pośrodku wody sennej,
Gdzie drga jasności krąg promienny,
Jak gdyby stawu tego dusza—
Jęczyczki ognia tłuką wodne szybki:
Wyskakują kraśne rybki..

Tak wspomnienia igrają na spodzie
Pamięci
W duszy, co niedzielę swą już święci
W przezroczystej szczerości i pogodzie...

Nagle się woda przejaśni,
Rybka się w słońcu rozkraśni,
Wśród zielonych irysów i białych muszelek,
Fontanną bryzgnie
Djamentowych kropelek
I w kryształową głębinę się wślizgnie...

I miło jest patrzeć się na te ich zabawy,
Nie znające co to są obawy,
Że można wydobyć na powierzchnię
Z mułu zapomnień żal taki, co nie pierzchnie!..

XXV

Humor cierpki, oporny woli i zakłębom,
Jak wszystkim ludziom nastrój i godzina
I nasze serca czarną naznacza pieczęcią—
I od niczego rozdźwięk się poczyna...

Recytujemy sobie różaniec przykrości,
Ale z tym gestem, który słowu przeczy:
Mówimy sobie najprzykrzejsze rzeczy,
Lecz oczy w oczy, szlochając z miłości!

I po kolei grzech wyśpiewadany
Usta z ust cichym zdejmują całusem...
Tak nawalnicy splókanie przymusem
Szyby na słońcu biorą blask lustrzany!

XXVI

Pięknego lata złote łodzie,
Co pomknęły pijane przestworem,
Wracają chmurne, krokiem chorem,
Z krwawych krawędzi na zachodzie..

Ich rzesza po powierzchni śliskiej
Huśta się w miejscu, jak zaklęta,
Rzekłbyś, że niańczą, te kołyski,
Jesiennych kwiatów niemowlęta.

W pokosach śmierci lilje leżą,
Ich białe czoła robak wierci,
Lecz róże wyglądają tak świeżo,
Róże się siłą żyć po śmierci!

Nie dba ich piękność doskonała,
Czy maj, czy już październik mija?!...
Ich żądza dzieciennie zuchwała
Światło do kropli krwi wypija.

Nawet gdy niebo już umiera,
Wśród mgły cmentarnych korowodów,
Niech się blask tylko gdzie przeciera,
Wychylą skroń ku gwieździe Godów.

Dusze nasze, róbcież jak one!—
Nie dumnej lilji śnieg nietknięty,
Płaszcz róż przechowują, czerwone,
Nieśmiertelny ogień, święty!

XXVII

Szał zmysłów, serc kochanie i miłość duchowa:
Obniżające miłość puste słowa..
Słońce! ty wszak nie robisz w blaskach swych wyboru,
Że te są od poranka, a te od wieczoru!..

Ty krocysz oślepione własnym swym pożarem
W rozpalonym lazurze, gwiazdzistym bezmiarze,
Nie znając nic, prócz własnej mocy przepotężnej;
Co u świętych tajemnic w służbie jest zaciężnej.

Kochać to się rozdawać wciąż i wciąż się stwarzać...
O ty, co umiesz górne serce me rozżarzać,
Pocóż na wagach kupca ważyć marzeń złoto?!...
Kocham cię całą — całą swą istotą!

XXVIII

Bije godzina!

Wieczór spuszcza się zgór i w ogrodzie zasiada...

Nie szańnie liść... trawa nie drgnie znikoma...

Bez dźwięku i bez gestu serce z sercem gada —

Piękność się nieruchoma

Zaczyna!

Młode poranki — ich cudne niespodzianki

Przeleciały, odwiałły daleko...

I te płaszcze wichru aksamitne,

Gorące, ciężkie, miodosytne,

Co po znoju

Czerwcowym się wleką...

Nastąpiło szczęście spokoju!

O nieskończone, wodne zwierciadła, wyzłocone,

W których gwiazdy niebieskie się kołyszą...

Drzewa! przestrzeni!

Ciszol!...

My, w tobie pogrążeni,

Chcielibyśmy tak wiecznie: to istnieć, to ginać,

To znów się z pod fali wychynąć,

Nigdy nie syci — zawsze upojeni —

Tem, co nie kończy się nigdy, i nie mieni!

XXIX

Tak pięknie kiedyś do mnie mówiłaś, kochana,
Że kwiaty okoliczne, słysząc twoje słowa,
Pokochały nas nagle! — i róża ponsowa,
By nas się dotknąć, spadła na nasze kolana!

Mówiłaś o tej bliskiej już przyszłości mrocznej,
Kiedy lat naszych owoce przejrzałe
Spadną z drzewa naszego... jęknie dzwon wyroczny,
A my będziemy kochać nasze głowy, białe.

Głos twój tak mię kołysał, jak dziecię na rękę,
A serce twe rzucało światłość takiej siły,
Żebym był mógł w tej chwili puścić się bez lęku
Na te spadniste drogi, co wiodą do mogiły!

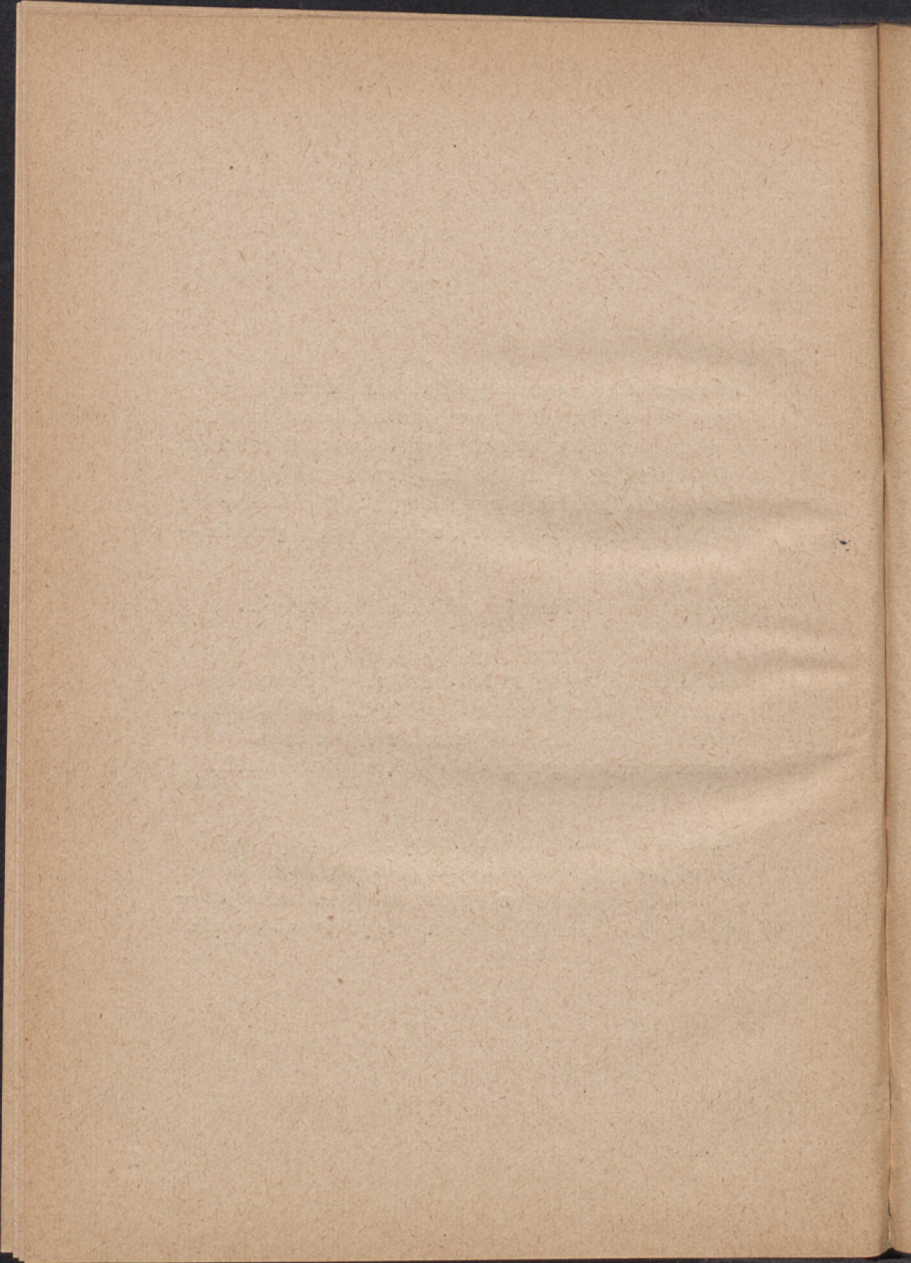
XXX

Jedna za drugą przeszły słoneczne czeredy!
Moje Godziny Jasne: ranka i południa...
Słońca, kwiatów i pieśni wzięły wszystkie schedy, —
Szły drogą, której żaden kamyk nie utrudnia...
Lecz niebo już przybiera zimną błądź kredy,
Przychodzi jesień... jesień! smutny poseł grudnia —

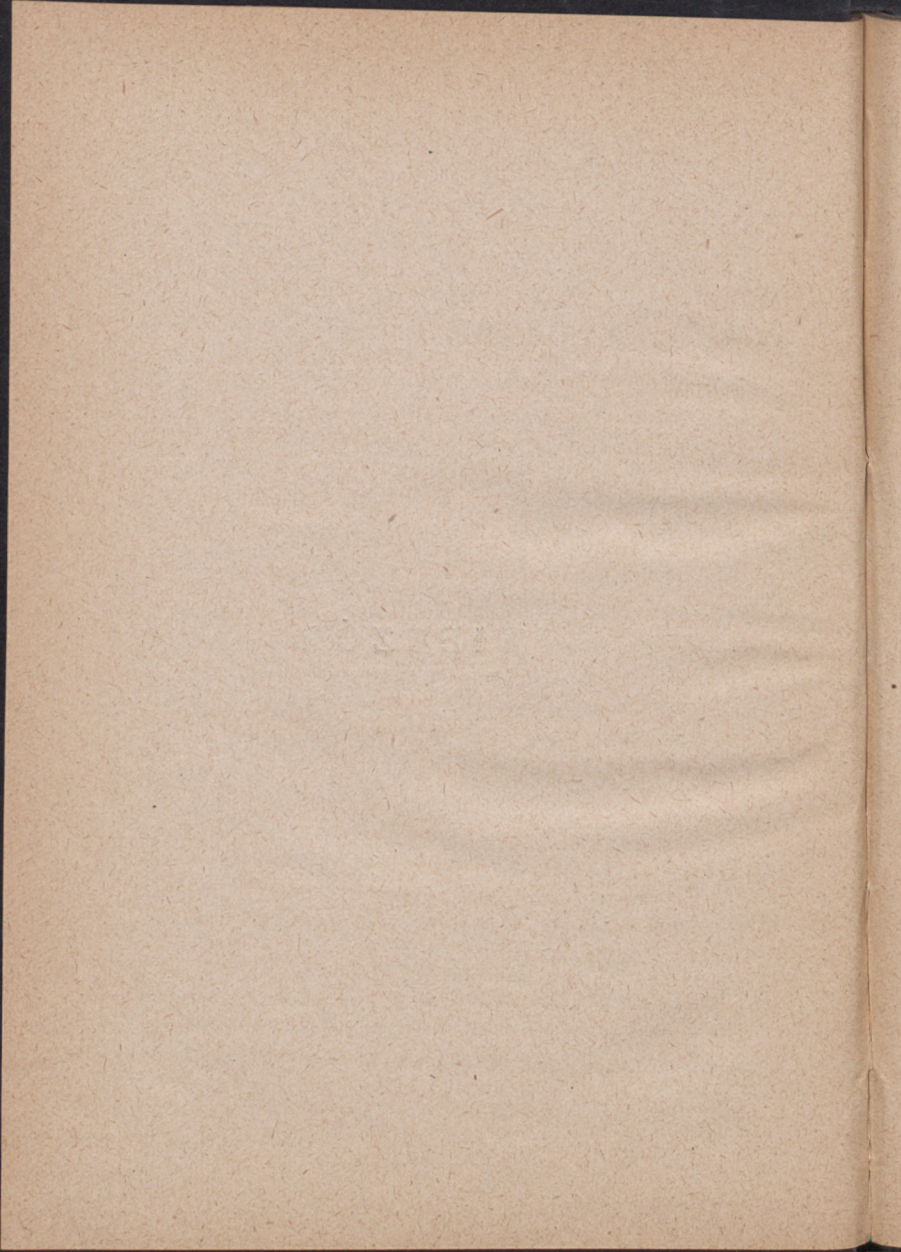
Godziny w róż koronie, wróćcież tu kiedy?!...

Jeżeli los, co w rękę gwiazd wyroki trzyma,
Oszczędzi nam tych ciosów, których ma tak wiele...
Może przyjdziecie kiedy przed memi oczyma
Jeszcze płąsem swym oddać piękno i wesele?!...

Może w to rondo, które wasze hymeneje
Toczą przez łąk kwiecistych południa i zmroki
— To są moje najwyższe, ostatnie nadzieje!! —
Wplotę Godzin Wieczornych pożegnalne kroki.



WIECZÓR



I

Drobne kwiecie musująca piana
Zalewała dróg naszych żywopłoty,
A powietrza toń rozfalowana
Glaskała nas, jak piór ogromnych mimoloty.

Cień otwierał liściaste parasole
Nad duetem zgodnych naszych kroków,
Piosnka dziecka to całe wypełniała pole
Po błękitną kopułę obłoków.

Straż trzymały trzciny smukłe pacholki
Nad nieruchomym stawów majestatem,
Las odbijał chwiejne swe wierzchołki,
Splątające bursztyn ze szkarłatem;

A serca nasze idące zawsze razem,
Jedną powzięły myśl zgodną,
Że ta noc piękna jest wiernym obrazem
Jesieni naszej, co ma twarz tak pogodną!

Niebo zegnało nas ostatni raz solennie,
Opasane gwiazd wszystkich djademem —
Długo, długo patrzyłaś w to niebo! bezdennie
Głębokimi oczyma... w rozrzewnieniu niemem...

II

Jeśli jest prawdą, że drzewa i kwiatki
Mogą przechować kochanków wspomnienie,
Którym służyły za świadki...
Miłość nasza już w wieczne zachodząca cienie,
W tej godzinie, gdy szczęścia żegna już ostatki,
Wybierze sobie dąb jakiś i różę,
By moc swą przelać w drzewo,—słodycz w kwiatu krużę

Tak przeszczepiona w pierś tych prostych stworzeń
Będzie ssać ziemię przez żyjący korzeń,
Będzie się jeszcze na słońcu kołysać,
Jeszcze pod deszczu perlami obwisać,
Kiedy po liściach w doświły szeleszcze...

Gdy będzie tędy iść kochanków para,
Dąb na nią rzuci cień swego konara,
Tak wyciągnięty, jak ramię z opieką.
Od ust im róża woń pośle daleko...

.....
I coś z nas w tem będzie jeszcze...
.....

III

Powędły już glicynje, poczerniały głogi,
Teraz się wrzos liljowy na piaskach wylęga,
W ten słodki, cichy wieczór może wiatr, włóczęga
Przyniesie ci zapachy Campiny ubogiej.

Wciągaj je w pierś z lubością i wspomnij te kraje!
Grunt goły i jałowy gęste piestrzy bagno,
Zachłanny piach z nią walczy, wichry zdobyć pragną,
Ona się jeszcze dzieli tem, co jej zostaje.

W ciągu jednej jesieni żyliśmy z jej płodów,
Depcząc jej las i pole — jej drogi i grzędy,
Aż tłum złotych aniołów w noc cudowną Godów
Z wielkim rozmachem skrzydeł spłynął w jej legendy.

Tam serce się twe stało kryształem, co blyszczy,
Prostem i mocnem ludzie zrobili je prości,
Kobiety stare snując długi żal przeszłości,
To przedziwo sprzedzione, które dłonie niszczy.

Nasz dom zgubiony w landach wpośród mgły moczarnej
Był przyjemny dla oka choć w ziemi posępnej,
Lubiliśmy dach jego, drzwi i próg przystępny
I kominek od dymu torfowego czarny.

Gdy noc swoje gwiazdziste rozwarła sklepienia
Nad bezmiarem sennaści rozwiewnej i bladej —
Myśmy się od niej tego uczyli milczenia,
Którego żar na zawsze odcisnął w nas ślady.

Przez to odosobnienie najdziksze, najszczerze,
Głębiej w nas świt przenikał i wieczorne zorze,
Serce od pól szerokich zrobiło się szersze,
A dusza pełna światu ogromna, jak morze.

I znaleźliśmy szczęście, poszukując cieni,
Pokochaliśmy nawet szarych niebios smutki —
Tych kilka dni słonecznych sam koniec jesieni,
Czarował nas tem bardziej, że był mdły i krótki.

Powiedły już glicynje, poczerniały głogi,
Teraz się wrzos liljowy na piaskach wylęga,
W ten słodki, cichy wieczór może wiatr, włóczęga,
Przyniesie ci zapachy Campiny ubogiej.

IV

Siądź tu koło mnie bliżej przy kominku
I roztwórz dłonie na prost płomieni,
Niech się w nich dawny żar rozczzerwieni —
Patrz się w ognisko — bez odpoczynku —
Żrenicą na blask wszelki zuchwałą!
Niech się rozświetli na wskroś, jak woda,
Bym na dnie duszę zobaczył całą...

O jak ta chwila jeszcze piękna jest i młoda!
Zegar ją złotym swoim językiem ogłasza...
Ja się przysuwam, dotykam cię, muszczę,
W twe się ramiona obwijam, jak w bluszcze
Luba gorączka, której nikt nie zgasza,
Z którą nie wchodzi wola w żadne targi,
Prowadzi calus cudnie nieomylny
Od rąk do czoła, a z czoła na wargi...

Ile cię kocham wtedy!... wyznać-em bezsilny!
Twoje przytulne ciało, co się mną napawa,
Które mię bierze w siebie i w swem szczęściu stapia...
Chętne ramiona, pierś twoja łaskawa,
Gdzie czoło moje — które rozkosz skrapia —
Po chwili szалу znużone, niezwłocznie
W sąsiedztwie serca twego cicho spocznie...

Kocham cię stokroć więcej po zmysłów wybuchu!
Gdy twoje serce matki i twa ręka siostry
Raj mi gotują błogi po rozkoszy ostrej —
Gdy już w ukołysanym rozlega się uchu,
Jak gang zegaru tego, co idzie w swej niszy,
Krok codziennego szczęścia, podobny do ciszy...

V

Blade, zimowe słońce zlej swe ciche zdroje
Na czoła nasze codzień zimniejsze i bledsze —
O zaświeć, zaświeć jeszcze! niech się niebo przetrze,
Gdy o południu w ogród zejdziemy we dwoje...

Tak kochaliśmy twoje południowe blaski
W południu naszym, z różą na równi i lilją —
Winne nam jesteś trochę swej królewskiej łaski
W ten dzień, co jest pożegnań zakrepiionych wilją...

O światło! ciebie nigdy nie zapomni człowiek —
Odkąd raz fale twoje obleją go ciepłe —
Nawet obezwładnione nocą i ośleplę
Śpisz w skarbcu jego wspomnień pod pokrywą powiek.

Myśmy cię z żarem twoim nigdy nie wychłódlęm,
Poczytali za jedno z ogniem swego ducha —
Wierzyliśmy: pierś nasza jest tem żywym źródłem,
Z którego w nieskończoność wieczny pożar bucha.

VI

Dalekie są już czasy floksów rozżarzonych,
I dumnych róż, wijących luk i wian zwycięski...
O, żaloszny ogrodzie wdzięków utraconych,
Wiernem ci serce moje zostało w dzień klęski.

Milszym mi nawet jesteś w tym swoim upadku,
Niż byłeś w swej świetności odziany kwieściami,
O ta resztko zapachu po ostatnim kwiatku,
Który się osypuje na ostatnie liście..

Obszedłem dziś dokoła ogród nasz i stawy,
By dotknąć się drzew wszystkich i najlichszej darni—
Aż padłszy na kolana wpośród drżącej trawy,
Usta moje do ziemi przycisnąłem czarnej...

Gdy coraz więcej w nocy zapadasz głąbinę,
Wichry lecają jak kruki, iżby cię obdzierać...
Istność ma jakby weszła w swą własną ruinę,
Na twojej śmierci sam uczyć się umierać.

VII

Wieczór się robi — i księżyc jest złoty

Biegnij, kochana, na klomb co żywo,
Zbierz kwiatów ostatnie żniwo,
Które przy życiu jeszcze zostawiły sloty

I poszłaś przez bukszpanu długie żywopłoty.

O koronie spelzłej, wynędzniałej,
Więź kwiatów uzbierałaś ubogą, a sypką...
I widziałem zdaleka, jak ci palce drżały,
Gdy szybko, szybko...
Zwijając wianek z nich biały,
Gerlandę gibką...

A długi krok twój lotny
Stał się ociężały...

Na jakimś wzgórku przydrożnem
U sztachety,
Na gołej ziemi złożyłaś go, wilgotnej,
Gestem nabożnem
Piety

Ach, było coś z pożegnań wiecznych w tym obchodzie...
Boś ty Młodości naszej wieńczyła grób—niestety—
Co w tym, spoczęła, ogrodzie.
UMARŁA.

VIII

Gdy w jakiś zmierzch jesienny przy tragicznym wicherze
Owoc naszego sadu, dziecię słodkiej pory,
Dłoń twa skrzętnie zgromadza w nasze wonne spichrze,
Zdaje mi się, że widzę wspomnień naszych zbiory.

Smak minionego ustom powraca tak żywo,
Jakbym go dziś kosztował na słońcu i wietrze...
O chwile utracone, od snowidzeń bledsze,—
Ty coś była rozkoszną, a ty nieszczęśliwą,

Zmartwychwstajeciel... z żądzą w sercu niezwalczoną,
By się wróciło tamto!... tamten raj i męka...
Aż żar niedogaszony zacznie palić łono,
Aż serce tak przybiera, że omal nie pęka!

Pięknie w mrokach jesieni błyszczące owoce,
Klejnoty, z kolji rudych czerwców uronione!
Jakież od was na nasze chłodniejsze noce
Powrotne poszły fale, wrzące i czerwone...

IX

Aż teraz, gdy z drzew gęste opadło poszycie,
Przez oka delikatnej czarnych różg gipiury
Widać pochyłe dachy i szerniałe mury
Naszej sąsiedniej wioski — stare, jak jej życie.

Nie wiedzieliśmy nawet, dokąd lato było,
O tym świadku, co progów naszych stał tak blisko,
Dopiero, kiedy raj się zmienił w cmentarzysko,
Myślmy o nim często, a myśl ta jest miłą...

Ludzie tam żyją jacyś w tych ubogich ścianach,
Za progiem wydeptanym, z okiennic powieką...
Jedynych gości mają w deszczu i orkanach,
Jedną życzliwość lampy, gdy do dnia daleko...

Kiedy grubieją cienie, blask z komina broczy,
Zatrzyma się wahadło, którem czas kołysze,
Tak jak i my zapewne błogosławią ciszę,
Która pozwala myślom stykać się przez oczy.

Im, ni nam, poufności słodkiej nic nie zmaca,
Z której dusza wychodzi w dzień bojowy krzepszą,
Dziękując za tę chwilę, co się w przeszłość strąca,
A od której następna zawsze „będzie lepszą“...

I oni zaciskają w rękę skarb swój cały
Z minionych szczęść i cierpień, których już im brakło,
Znają swe ciała, co się razem postarzały
I źrenice, od płaczów tych samych wyblakłą

Milują swego życia powiędnięte róże
Ze zwietrzałym zapachem minionej urody,
Których ciężkie wspomnienie sypie się na kurze
Liść za liściem przez długie przeszłości ogrody.

Zimnu świata, ciemnościom dłużącej się nocy,
Oni przeciwstawiają ludzki żar wewnętrzny
I nic nie może złamać ich upartej mocy,
Ni na usta wywołać skarg na los niewdzięczny.

Skromni mieszkańcy w landach, zgubieni bez wieści,
Jakże jednakie losy przeżywamy wszyscy;
Ileż naszego płaczu w łzach się waszych mieści,
Jak odwagą człowieka jesteście nam blizcy!...

Skupieni przy ognisku, czy kołem przy stole,
Dla codziennej roboty, do rozmów niedzieli,
Może mówicie czasem z zadumą na czole
To, cośmy nieraz sobie o was pomyśleli.

X

Gdy dom nasz śpi pod płaszczem gwiazdistych niebiosów
Cichnie duet naszych głosów,
Pod gwiazdami gorejącymi,
By się lepiej nacieszyć sobą, trwamy niemił

Tam w górze gwiazd się kręci srebrna zawierucha,
Po jej świetlanym obrębie
Noc czarna roztwiera głębie —
Cicho jest tak, że ocean tej cichości słucha.

A w tej nieskończoności milczącej tak namiętnie,
Wśród gwałtów skrytych w tajemię nocną,
Serca nasze dzwonią tak mocno,
Że to wszystko się stało ciszą przy ich tętnie.

XI

Tak jak rajskim ogrodem byłaś dla mnie ongi,
Gdzie kwiatów coraz nowe płynęły zaciągi,
A drzewa schron dawały przed słońca szaleństwem —
Tak mi ucieczką jesteś dziś i bezpieczeństwem.

Wszystkie twoje zalety — jak w bukietcie kwiatki —
Koło tego się kupią: twoja czułość matki,
Twój zapał i pogoda, niezbędna opiece,
A wszystko cisza, jakby zamknęła w fortecę.

Jeszcze się w twych ramionach coś z raju odzyska...
Twe ulubione, śliczne, naiwne przezwiska
Uszy moje czarują ptaszęcym świergotem,
Jak wtedy, gdy bez kwitnął, lipa siała złotem.

Twój humor, co jak stal się hartowna odpręża,
Nawet lat melancholję dzień po dniu zwycięża —
Widzę jak się do siebie uśmiechasz przekornie,
Gdy w gładkich włosach srebro kurczy się niesfornie.

Gdy twarz pod mój głęboki skłaniasz pocalunek,
Cóż stąd że już ją czasu porwał rysunek —
Że ręka co w mych dłoniach spoczywa tak pewna,
Nosi na sobie żyły zgrubiałe, jak z drewna.

Ty nie skarżysz się nigdy — ty wierzysz niezłomie —
Że to nie może zginąć, co kocha ogromnie,
Że miłość na kształt w duszy płonącej pochodni
Strawia żywicę bólu i wzmaga się od niej!

XII

Kwiaty wzdłuż alej, kiedy do domu wracamy,
Wybiegając naprzeciw do rąk się nie łaszą!
Szybę wód naszych gęste zrysowały szramy
I wieczną glorię słońca ciągle chmury gaszą.

Okrzyk „jesień!“ i „zima!“ brzmią jakby w bezkresie...
Ptaki pierzchły... równina jest jak śmierci mensa,
Nad moczarem się tylko biała mgła wałęsa,
Słyszysz stuk suchych berwion padających w lesie?...

Już ogród nasz dziś nie jest ulubieńcem blasku,
Jak wtedy, gdy w nim floksów gorzały świeczniki,
Wdeptane w proch tak leżą gwałtowne mieczyki,
Jak rozciągnięte długo kanały na piasku.

Wszystko ucieka, ginie, wszystko w proch się zetla
Bez sił, wdzięku i ognia! — ach w te dnie złowieszcze
Daj mi twe oczy! które dusza twa oświetla,
Bym kąć dawnego raju odnalazł w nich jeszcze!

W nich się schronił ostatni promień tej ulewy,
Co pławila w swem złocie ongi świat nasz cały,
Gdy róż namiętych co dnia bujniej kwitły krzewy
I duma lilji wyżej niosła w niebo strzały.

XIII

Śnieg nieskalany, w słoneczne snopy
Zległ rano...
Słyszę: to brodzą, to cichną twe stopy
Za ścianą...

W skrzypiącej szafie rozwieszasz odzienie,
Omiatasz kurze,
Lub krzesel długie ustawiasz milczenie
Przy niemych murze...

Dźwiękną pierścionki o szklane naczynie,
Brzęka więź kluczy,
To budzisz głównie zamarłe w kominie, —
Ogień zahuczy...

W twojej obecności wzięty kolisko
Błogością dyszę:
Że cię nie widzę, że czuję blisko
A ciągle słyszę...

XIV

Jeśli nam los oszczędził praktyki wykrętnej,
Pospolitych upadków, z udawaniem lichem,
To dlatego, że przymus był nam zawsze wstrętny,
Któryby serca nasze ściał powszechnym sztrychem.

Tyś szła wolna i szczerą swoim prostym szlakiem,
Kwiat miłości kwiatami przeplatając woli,
Gdym ja grzeszył odwagi lub ufności brakiem,
Tyś je dumnie ku sobie zwracała powoli.

Byłaś dobra bez granic, lecz wiedziałaś przecie,
Żem tobie jednej oddał na wieki swą duszę;
Jeśli się kochał w innej — czy ja wiem? -- kobiecie,
Do ciebie zawsze serce powracało w skrusze.

Oczy zalane łzami patrzyły tak czyste!
Smutek i przebaczenie szły na twą obronę —
Budziło się w mej głębi to coś rzeczywiste,
Co znajdowało słowa słodkie i natchnione...

I wieczór już na twojem kołysał mię łonie,
Szczęśliwego, że pierzchnął omam nieudolny —
Szedłem z przyływem w górę, w niebo, gdzie się toniel
W otwartych twych ramionach — więzień dobrowolny!

XV

Nie, dusza się ma nigdy nie znużyła tobą!
Mówiłaś ongi w porze południowej:
„O, gdybym kiedyś czuła, mój Jedyny,
Że cięzę ci już tylko, ciężar przymusowy,—
Z sercem rozdartem, wieczną okryta żalobą,
Na kraj świata odeszłabym jednej godziny“.

.....
I cicho głowę do mej przysuwałaś głowy...

Mówiłaś: wszystko nuży i serce ostyga,
Puch kwiatu delikatny długi nawyk ściera,
Choć złotym jest ten łańcuch, który serce dźwiga,
Łańcuch zawsze uwiera.

.....
I drżałaś pod lez deszczem jak biedna łodyga.

I mówiłaś mi jeszcze i mówiłaś jeszcze:
„O rozstańmy się lepiej, rozejdźmy czempredzej,
Zanim wystąpią pierwsze oznaki złowieszcze —
Miłości naszej z nadludzkiego szczytu
Nie ściągajmy w szarzynę pospolitej nędzy!“
I już się odsuwałaś... już, już, obojętnie..
A ja ściagałem ciebie, łowiłem namiętnie...

Nie, tyś mej duszy nigdy nie dała przesytu.

XVI

Życie ma jeszcze dla nas dumne swe uciechy,
Chociaż poprzestać muszą na nietrwalej chwilce,
Dość by słońca przelotne musnęły uśmiechy
Tych róż, które na szybie rzeźbią mrozu rylce.

Serce dostaje skrzydeł — cud się w koło iści,
Ten nasz umarły ogród nagle oczom zda się,
Mimo swych długich ścieżek i pożółkłych liści,
Tak żywym i słonecznym, jak w lipcowym czasie.

Jakiś heroizm życia wywarza się w szale..
Bujne, wspaniałe lato z piorunowym dreszczem,
Wciela się w nas, z rzęsisztych pocałunków deszczem,
Które dajemy sobie, ach, zapamiętałe!

XVII

Jeśli i nas tak kiedyś lat przyciśnie brzemie?!..
Jeżeli i my tak kiedyś będziemy zdziecinniali,
Suwający nogami, oczy wbite w ziemię,
Dziecinne pocałunki z sobą zamieniali?!..

Przez te raju naszego znajome komory,
Gdzie w echu się zatai młodych ust wesele,
Snuć się będziemy jako własne swe upiory,
I trzęsące się ciała zwałać w te fotele?!..

O jeśli nas ta ciężka próba nie ominie,
Jeżeli nam sądono ugasać powoli, —
Nie będziemy rozpaczać po swojej ruinie —
Płacz uwięziony w piersiach pocichu wyboli.

Bo jeszcze nam zostanie skarb ogromny: oczy!
Oczy, w których się cały świat ten cudów mieści,
Cudny w różach jutrzeńki, w wieńcu gwiazd uroczy,
Na który cień od żadnej nie pada boleści!

XVIII

Jakieś dawniej w użyciu naiwne przezwisko,
List poźółkły — skromnego zdarzenia rocznica,
W te południa posępne, których noc tak blisko,
Życie w sercu gasnące cudownie podsyca.

Może dziwne, że serce tak zazdrośnie strzeże
Tych uciech, wracających z bładem widma czołem,
By sięść przy naszym stole na nocną wieczerzę,
Łamiać z nami chleb dawny, co się stał popiołem.

O, chleb ten, co nam życie przekarmił, jest święty!
Zbieramy więc najmniejsze jego okruszyny,
By te co z nas się jeszcze pozostały szczęty,
Miały o czym znieść mękę ostatniej godziny.

XIX

O śniegul

Płomyków zamrzłych biegu...

Złóż

Białe swoje popioły

W djamentowy kurz,

W cudowne, zimne pościoly.

Już topol na ramionach biały ciężar dźwiga
I nieważki skowronek pod niebo nie śmiga.

O śniegul

Róż lodowatych noclegu,

Ty który dajesz ochronę,

Jak kokosz wysiadujesz ździebła ruń zielone,

Którego wszędzie pełno

Po lesie i na równie,

Na każdym płocie, na każdej drzewinie,

Na dachu i na kominie,

Wszystko otulasz puszystą swoją wełną...

Wszystko uśpione

Bierzesz pod swoją mięką oponę.

Ó, bądź ty gościem w naszym domu,
Uczyń nam okna z polichromu,
Zanosimy prośby najgorętsze:
O wnknij w nasze wnętrze,
Gdzie kielkują nadzieje zielone,
Daj im, jak runiom, osłonę!
Niech dłonie twoje bratnie
Wygrzeją nasze marzenia ostatnie.

XX

Gdyśmy brodzili w kwiatów oceanie,
Po złocistej południa pożodze,
Wybuchło z piersi wyznanie,
Oskarżyliśmy się niekiedy srodze,
Żeśmy w czemkolwiek swoją obniżyli duszę!

O, zbyt były na pokaz wystawiane winy,
Nie łagodziły ich żadne retusze,
A błąd roztopiał się we łzach i skrusze
I przebaczenie niosło miłość na wyżyny!

Ale w tą porę słotną, co wszystko zakatrupia,
Gdy wszystko już zacieśnia się i skupia,
Gdy nawet światło zmęczenie osłupia,
Bo na ciemności jest zaledwie skazą!
Za mało wibrująca jest dusza i napięta,
By się spowiadać z win swoich, jak święta,
Z ekstazą!

Mówimy je, jak to, co jest koniecznem,
Nie bez czułości, z spojrzeniem serdecznem,
Lecz nie o świcie już, a późnym wieczorem...
Na palcach wyliczamy je niekiedy,
Jak te, co upakować po kątach trza czeredy..
A iżby się pogodzić z ich liczbą i uporem,
Rozumowania powlekamy je polorem.

XXI

Gdy przy kominku zmorzył cię sen lekki,
Cicho me starcze zbliżyły się dłonie,
Włos odgarnąłem, 'co opadł na skronie,
I całowałem wzrok poprzez powieki.

Przed duszą moją, nagle rozrzewnioną,
Niosąc przeszłości wesołość i żalność,
Lat upłynionych przeszło długie grono,
Aby mi odkryć twoją doskonałość!

Przed narzeczoną — klękałem namiętniej,
Inaczej dzisiaj padłem na kolana:
By dłoń położyć, jak myśl nieskalana,
Na świętem miejscu, gdzie twe serce tętni.

XXII

Serca nasze w epoce młodzięczych uniesień
Górnice żyły miłością wspaniałą...
Ale nam małoduszność zaszczepiła jesień
Na błędy swe wyrozumiała.

Już ty nas nie podnosisz o, wolo młodzięcza,
Nieokielznanym swym zapalem!
Łagodność cicha—nie rozkosz oblubieńcza —
I błada dobroć jest naszym dziś udziałem.

Ty już na niebie naszym, o miłości słońce,
Za horyzont zaczynasz się chować...
Mówimy słów liczmany, słowa nicnieznaczące
Suchej mądrości, by niemoc swą maskować.

O jakżeż smutek nasz urastałby co dnia,
Po drodze mglistej, zimnej i pochylej...
Gdyby nie to wspomnienie, jak w mrokach pochodnia,
Tych dumnych duszl... co ongi nami były...

XXIII

Kiedy zimowe słońce ze źrenicą skośną
Stacza się za horyzont, jak bezwładne zwłoki,
Zegar odmierza twardo czasu kroki,—
Lubię wymawiać i powtarzać głośno
Imię twe, co ma spiżu ton i dźwięk głęboki!

Wciąż bardziej się zachwycam, powtarzam na nowo,
Aż z warg spadnie do serca i tam oddźwięk budzi,
Którego nie potrafi oddać żadne słowo,
Z tych, com je słyszał kiedy, lub mówił do ludzi...

Tak przed różowym świtem i przed czarną nocą,
Wobec uśmiechów życia i pod jego ciosem,
Wymawiam je wciąż swoim, rozkochanym głosem
Ale, o powiedz! z jaką powagą i mocą,
Wymówię je w godzinę śmierci!...

XXIV

Być może słońce
Chociaż przez cień...
Blade i drżące,
W żałobnym stroju,
W ostatni dzień
Może do mego zajrzy pokoju?!...

Na moją biedną rękę bladą i wychudłą
Jeszcze raz życiodajne poleje się źródło?!
Na czole i na ustach mych na pożegnanie
Złoży głębokie, jasne swe pocałowanie —
 kwiaty moich źrenic, nim powiędną w trumnie,
Ostatni raz mu blaskiem odpowiedzą dumnie.
O słońce, byłem twojej czcicielem potęgi,
Pieśń ma słodka i wrząca wzięła cię w swe kręgi,
Jak łan dojrzałych pszenic, gdy po nim wiatr dysze,
Niejedna cię ma karta rytmem swym kołysze —
Osadziłem cię w sercu mych najwyższych wierszy,
O wielki przyjacielu ostatni i pierwszy,
Ognioskrzydły, jak nieba strzegące cheruby!
Gdy stare serce moje zegnje ogień próby,
A ono będzie jeszcze walczyć sił ostatkiem,
O słońce! bądź w tej wielkiej i strasznej godzinie
Gościem u mnie ostatnim w gościnie,
I świadkiem!

XXV

O, rąk twoich kochanych ta pieszczota cicha,
Co się wiesz na szyi i pierś mi obchodzi...
Gdy mówię ci pod wieczór, że mój dąb usycha,
I że już mróz starości krew mi w żyłach chłodzi.

Nie wierzysz! bym ja prawu był temu podległy,
Co w noc i w nicość spycha wszystkich nas za ramię,
Choćby z liściem lauru w dłoni mistrza bieglej,
I skrzydłem sławy, śpiącym w piersi pustej jamie...

O szlachetne złudzenie wielkiej duszy twojej!
Po raz to pierwszy kłamstwem kołyszysz mą duszę,
A serce ci jest wdzięczne, złudą się twą koi
I dzięki tobie znosi los swój w słodkiej skrusze.

Serce to wie, że wszystko naprózdem jest przecie
Wobec tego, co już jest — i tego co czeka...
Lecz że to może — szczęście największe na świecie:
W oczach twych kończyć tak swój piękny los człowiekall

XXVI

Gdy już na światło oczy zamkniesz mi na zawsze,
Pożegnaj mnie raz jeszcze długim uściśnieniem,
Bo co jest najwznieśliwsze w duszy i najkrwawsze,
Dał ci mój dech ostatni z ostatniem spojrzeniem.

Skłoń piękne, smutne lico wśród gromnic drużyny!
Niechaj do zaszklonego już oczów mych globu
Zapadnie obraz — na wieki — jedyny,
Który uniosę do grobu... — — —

Chcę czuć raz jeszcze jeden, nim się wieko zawrze,
Na śmiertelnej pościeli razem nasze dłonie...
I na zimnej poduszce — jak bywało zawsze! —
Przy głowie mej — ostatni raz — twe skronie.

ERRATA

- Str. 3 wiersz 3 zamiast Zmierch — Zachód.
" 9 " " " " pozwala — pozwalają.
" 10 " 10 " " słabą — złotą.
" 12 " 5 " " „Weszli tak kledys” — „Weszli tak razem
kledys”.
" 13 " 5 (od dołu) zamiast „Gdy już światło” — „Gdy już
na światło”.
" 14 " 4 (od dołu) " Wyznąją — Wyznąję.
" 21 " 13 zamiast pulsujące — pulsując.
" 27 " 3 (od dołu) opuszczone na początku wiersza I.
" 29 " 3 zamiast razem — nocą.
" 38 " 13 " me — nie.
" 57 Tytuł zamiast Zmierch — Zachód.
" 64 wiersz 4 zamiast pluskają — pluskając.



Zakłady Drukarskie B. Grabowski i S-ka, Sp. Kom. Warszawa,
Pl. Krasieńskich 6., tel. 44-04.